6750
II

Oprawiono w r. 1941.

6750
II

Slnce

Komedya w 5 aktach

napisał

Bronisław Śmierzowski

Index

Stonice.

komedya w V aktach.

napisał.

Bronimił Świeżawski.

Osoby:

Karol Witecki właściciel dóbr
Marya jego żona
Amelia siostra żony Witeckiego.
Anna jej córka
Męcicki
Zbicki
Ramowicz adwokat
Hilary ojciec Maryi
Murzytto
Trombiński
Cybulka
Wanda jego żona.
Sikora oficyalista Witeckiego.
Adam Żabski inżynier

Piasecki obywatel
Walenty robotnik
Walentowa
Antoni

Goście – robotnicy.

Rzecz dzieje się na wsi u Witeckiego i w pobliskim mieście. Między aktem drugim a trzecim upływa miesiąc, między czwartym a piątym rok czasu.

Prawa strona od widzów.

Akt pierwszy.

Scena przedstawia skromnie urządzony pokój na książki. Z tyłu drzwi szklane wychodzące na balkon, po obu stronach okna. Przez drzwi i okna widać przeciwległą ulicę i kamienice z przeciwka. Drzwi na lewo i na prawo do innych pokoi. Na ścianie bilka szaf z książkami, obrazy, kosz z kwiatami przy oknie, stół po lewej pełny gazet i książek, bilka foteli dokoła, po prawej kanapa.
Z ulicy słychać turkot pojazdów i zalatuje gwar uliczny. Amelia chodzi niecierpliwie od okna do okna i wygląda na ulicę.

Amelia.

Nieprzychodzi! Zawsze zagada się, obawszy się interesami, chodzi i biega za interesami. /Wyglądała przez okno/ Nie — niema go, już czwarta, gdzie zajdą się niedługo.

/Zwraca wzrok/ On, czy nie on — Nie! a to mędziar jak go malują! /Wychodzi naprzód/ Słusznie utrzymuje Mamy-nia że taki święty mąż nie dla niej. Bo dziwny człowiek, wszystkim robi co może, a o sobie i swojem szczęściu nie pomyśli. Ja tego nie rozumiem, a on powiada, że stabi ludzie nowej wiary nie mogą pojąć. /z obruszeniem/ Cóż to ma mnie porównywać do stabych, to mi się podo-ba! /Idzie do okna/ Nie, nie widać go jeszcze, wnak dziś jego imieniny. /Kłania się komuś na ulicę/

Od strony lewej wchodzi Olimpa. Ubrana modnie, prezadnie w toalety rountowa.

Anna.

Proszę matuchki jestem gotowa na przyjęcie chwilky kawięcia.

Amelia /szybko idzie do Anny/

A — w istocie. Podobasz się więcej niż zwykle, chociaż zawsze podobasz mi się bardzo.

Anna.

Mama mnie się radzić na komplementa.

Amelia /przyglada się Annie/

Ma ciebie mówią komplementów, bo prawda kaie tak

o tobie mówić. Ale wiesz – kamelie na ramieniu nie podobają mi się. Lepiej gdybyś w poca kwiaty przypiął. Ramiona tak kwiatkami zbudowane jak twoje nie należy zakrywać, zwłaszcza że Karol jest trochę estetykiem i nie lubi przesady w ubraniu.

Anna.

Mąż nieboszczyk lubiał bardzo kwiaty na ramieniu, więc przyzwyczaiłam się do tego.

Amelia.

Tak dla męża to robiłaś, ale obecnie powinnaś to rzucić bo Karol lubi. Wiesz jak mężczyźni są grymaśni.

Anna.

Oto królowie grymasów. Dziś jako wdowa tak czuję się wolną i szczęśliwą, że chyba niczego więcej nie pragnę. Póki jestem wdową i piękną, spełniać będę z zamiłowaniem wszelkie obowiązki jakie wymaga zasada nęcenia pewnych wszystkim nieszczęśliwym w miłości. Wolna od nadzoru męża będę pracowała dla rozwoju miłości.

Amelia.

Bardzo piękne zadanie, a przytem miłe. Dziękuj Bogu

mamy niezależne stanowisko, umiemy nie oglądać się na śmieszki fatzymyrki ludzi i swoje robić. Gdybym była młodszą i niemiała córki już wolowej, stuzyłabym takie miłości.

Anna.

Matu dopiero lat 28. Zresztą mama mnie podpierać miłość starych kawalerów.

Amelia.

To mi szczęścia nie przyniesie. Zamiast za bezrobotnego odważającego. Sił życiowych nie mają, przytem tak zmudnieniem, że kompromitująco trzeba nieraz samej kubiecie iść za nimi, bo niezechce im się przyjść do niej. Zresztą najwięcej podobają się starym kawalerom smarkate kozy.

Anna / poprawia w kieszeni tualetę /

To mnie wejść mama między weteranów stuzby matzeńskiej, i tam kilka zim zbuntować przeciw mężom.

Amelia

To Anuczko takie niepraktyczne. Doświadczenie nam na zobie, gdym byłam jeszcze zimą przedwrześnie zgarłego męża.

Zazdrosna, zwarzy listom o każdy postępek jego, a z latami tak mi to rozjątrzyło, iż nawet nie pomyślałam, co mój pan robi i gdzie chodzi.

Anna.

A więc w takim razie mama tylko będzie patrzała, jak ja będę w mim obowiązku pracowała. Powiada Karol, że ludzie nie mają zgoła pojęcia o obowiązku, ja mu dowiodę jak gorliwie będę spełniała, co mi Mamunia polecita.

Amelia (całuje Annę)

Dobry uczynek zrobisz, gdy Mamunię pogodzisz z jej ulubieńcem. Cierpi biedaczka bardzo, a cóż winna że Karola takim kochać nie może.

Anna. (z pewnym odcieniem)

Ale spróbuję wybrać sposób przekonania. Wchodzi pewnego razu do ciemnego pokoiku, gdzie całem światłem są gwiazdki z nieba i stępiony odblesk przygasłego blasku niedrzącego wtym mroku i w tej ciszy. Trwoga ją ogarnia, czuje obecność zbrodni przeciwko małżeństwu, bo wie, że mąż nie wyjechał i w domu znajduje się jejchna kuzynka. Zapala światło, nagle dla oczu tej pary niespodziewanie, w świętej wszystkiej zbrodniej

żonkii oglądała męża z kwaśną miną, i wyrywającą rywalkę, cha, cha, cha, cha./śmieje się głośno i wesoło/ To dla mnie życie, to cel życia takie scenę przebyć, choćby przy akompaniamencie rewolweru lub kwasu siarkowego. Wszystko mi jedno. Żyć za długo nie chcę, więc kula ani trucizna nie odstraszy mnie. Szukał tych którzy chcą kochać, a nie mają kogo i wchodzić między nieszczęśliwe małżeństwa by przedtej je do otwartych kart przygotować i do wyjawienia głośno tłumionego nienawiścią! Prawda mamo, że to nawet chrześciański uczynek, a dla mnie to pokarm, to życie i szczęście!

Amelia.

Z podziwem patrzę się na ciebie. Gdybym była męczyzną ucałowałbym ciebie i wszystko moje pod twoje nogi.

Anna.

Tylko siebie od mężczyzn życzyłam, niczego więcej.

Od strony lewej wchodzi Klaryca skromnie ale pięknie ubrana.

Klaryca.

Cóż moje kochane wdowy poradziły?

Amelia.

Młoda i piękna wdowa cieszy się zwycięstwami między płcią brzydką, a stara wdowa...

Anna /przerywa/

Matuchno, jak można tak o sobie mówić.

Amelia.

Wstawione zęby i farbowane włosy zupełnie mnie do tego upoważniają.

Anna.

Przecież mamo mówiła farbowanych włosów

Amelia.

Przyznam ci się, że farbuję.

Anna.

Więc w naszej rodzinie tak wcześnie siwieją? Niech mnie ma, ma nie straszy.

Amelia.

Nie obawiaj się, nie posiwiejesz za prędko. Człowiek siwieje zawsze w swoim czasie. Twoja siwizna idzie dziedzicznie po ojcu tak samo jak tępina, a twój ojciec miał do późnego wieku włosy hebanowe.

Anna.

Bo nie chcę ani postwić, ani farbować się.

Marya.

A na zęby przyjdziesz.

Anna.

Muszę przyjść, bo mam już tam wprawione.

Marya.

Nie wypada się tak głośno Anna, ściany mają uszy.

Anna.

Trzymam się tego, że lepszą jestem z wstawionymi zębami
od setek takich, które własne mają.

Marya.

Zbiednieni już być się nie powinna.

Anna. /przechadza się/.

Mężczyzna kiedy już kobiecie w zęby zaglądała nie przerazi
się, jest już w niej po uszy zakochany. Spryt kobiety zależy
od tego, kiedy pozwoli mężczyźnie bez szkody dla siebie w ta-
jemnice się wkradać.

Marya.

Sądzę, że nigdy nie należy dopuszczać te wrogie istoty do

naszych tajemnic, albo bardzo rzadko. Oni i bez tego są nami rozczarowani. Sprytna kobieta tylko wtedy powinna odkryć mężowi swoje tajemnice, gdy on dobre interesy robi i ma pełny ~~ta~~ worek, kobieta bez męża tylko wtedy, gdy wie, że ten nowe zobowiązań sobie nie weźmie. /Do Anny/ A czy postanowiłaś nam nowych zobowiązań i przyjąć Karola?

Anna /całuje Marysię/

Nie troszcz się Marysiu, chodź tylko koło swego nowiny, ja potrafię dopełnić obiecanki, gdyż zdecydowałam się tu przyjechać i sprawy nie zaszpiam.

Marysia. /śmiało/

Nierozumie powoli ten romans się ułoże. Chciałabym, żeby szczęście było przy nim.

Amelia /odchodząc do okna/

Marysia niesprawiedliwa.

Anna. /do Marysi/

Wrócę dopiero miesiąc przed.

Marysia.

Bez bardzo przykry i denerwujący.

Anna: Mam większą w tym względzie praktykę od ciebie

i widzę dobrze. Pan Anastazy Murzyłło od Klasina pracuje na naszą korzyść. Ze zręczności jakiej ci zazdroszczę zniszczył w nim wszystko, co twój Karol zbudował. Przeszło rok pracował nad nim i z zagorzałego szlachcica zrobił handlarza, typ go nawet prezbiter tak, że dziś zaślepiony będzie walczył jak niedźwiedź i nienawidził wszystko, co Karol wprowadził.

Klara (radośnie)

Wiedziałam dobrze, że nam skomplikuje nasiąkanie musi trwać. Stary szlachcic nie może zostać przemysłowcem i zarobkiem równości.

Anna.

Prytem mecenas Damowicz i twój ojciec wypuszczą akcje, zanim by wszystkie manipulacje spółki przepadły, więc my kobiety podpiszemy to wszystko w swoim czasie, dlatego denerwować się nie potrzebujesz nieszczęśliwa matko.

Klara.

Ale siostro nic nie wiesz!

Anna: Bądź zupełnie spokojna. Klara o tem wiedzieć nie

będzie, bo który wie, jak się to skończy.

Marya /nerwowo/

Musi się skończyć jak ja chcę.

Anna.

Lecz pewności mieć nie będzie, a mama surowo moralizo-
wała wszystkich w naszej rodzinie niestychane zbrodnie.

Marya /wstaje/

Między nami oczywiście to zostanie. Tylko ty Anusiu dzisiaj ener-
gicznie. Więcej uroku miej na Karolu, nie wstydź się, użyj
radykalnych środków.

Anna.

Tego nie możesz odemnie żądać. Ubrać ujarzmić zabić, bym cie-
bie przy nim zostawiła.

Marya.

Prawda...

Anna

Więc nie pozwalam mieć wstydu dalszego. Za daleko sięgasz w żą-
daniach.

Marya.

Co tajemnicą zostanie między nami nie leży wszystkiem!

Anna.

Lecz ty kobiecie, masz ślepą zazdrość o Kawalera, której nie widzisz, więc niechcąc narażać się na zburzenie twoich przy-
mień.

Marya.

O to źle sądzisz. Ty to mówisz, czy zapominasz o Elżbiecie!

Anna.

To takie ślichcie jak gdyby.

Marya.

Prosz cioci, nie widać tam mego szczęśliwego męża?

Amelia (od okna)

Karola nie widać. Pewnie wszedł do kamienicy, za-
pewne już dawno go pożądrem.

Marya

Ach!

Anna.

Zimnej krwi Maryniu.

Marya.

Ty Anno szczęśliwa, tak łatwy znalazłaś cel życia.

Anna: Łatwy nie ale przyjemny.

Marya.

tak, przyjemny, nie rozkoszny, ów kiedy ja tylko w pata-
cu mogę być zadowolona, rydwan złoty nie nie uspić
spokojna.

Anna.

Kordola ryba w innym nie smaczna.

Marya.

I kordola przyroda ludzka inna. Karol utrzymuje, że natura
i namiętność zwalczyć nie można.

Anna.

Sądzę, że wybrać można takie namiętności, które w danych
warunkach można zaspokoić. Godzę się z Karolem o tyle,
o ile mówi, że pewne tylko można pokonać.

Marya.

Tyś sobie wybrała dogodną namiętność.

Anna. /weselo/

Miałam jenerał lepszą, mogłam być dobrą żoną i matką,
ów, kiedy ziemia zalotów mi koncesjonowanego towarzy-
sza.

Marya: A teraz posiadasz różnych prywatnych.

Anna.

Mamę ty właśnie namiętność skandalików i intryg odziwiać. Świat bardzo trudno w tej mierze koncesji udziela.

Maryja.

A gdzie się wybierasz po zabójstwie narzeczonego?

Anna.

Wyprę mamę do stryjostwa, a sama do Zakopanego na po-tów

Amelia (zbliża się)

Dlaczego ja nie mogę pojechać razem z tobą.

Anna.

Bo mama mnie przeszkadza.

Amelia (płaczliwie)

Ależ Anusko, kiedyż ci przeszkadzałam? Mam żal do ciebie.

Anna.

Swoją osobą zawsze. Gdy najprzykładniej w Zakopanem przy jakiejś stronnej ścieżce będę malowała samotna, udającą awanturniczą artystkę i ratowała jak pająk na ofiary, gdy znajomi będą wiedzieli, że z mamą jestem, a spotkają samą czy wiernem, czy rannem, wezmą na języki, zamną więcej obmawiali niż zasłużą, rozgłoszą moje zachowanie,

a tak, gdy her mamy pojadę nikt bardo nie zdziwi się, że
sama sobą opiekują się.

Amelia.

Ale tak długo nie bie niewiadzieć.

Anna.

Zostawię mamie tę nową fotografię w stroju prządki.

Marya.

Cóż to za nowy koncept.

Anna.

Ach, wygadałam się. To dla Karola, z odpowiednim wier-
szem oddam mu dziś na pamiątkę, na jego imieniny.

Marya.

To dość prawdziwe na pojęcie.

Anna.

To jest jedna z wielu drobnostek, które dlaczę jego przeistaczają.
Od strony prawej wchodzi Karol Witecki.

Karol /zwabiony/

Moje panie już wzywają.

Anna /podbiega do Karola/

Szwagierecek kochany. Cóż to, tak pan długo Karol ze-

brać na siebie.

Karol.

Po drodze listem w redakcyi u Trąbińskiego.

Amelia.

Spewnością niezaoltarego powinnie poczną się schodzić.

Karol.

Jeszcze za jasno. /Zwraca się do Marji/ Cóż mnie złotko porabia. /całuje w usta/

Marya

Czeka na twoich przyjaciół.

Karol /oglądza Marya/

Jak ty się pięknie ubrała.

Marya.

Niemogą na twoją żonę powiedzieć że brydko. Tyle panów z różnych sfer, z różnymi pojęciami, wszyscy muszą powiedzieć, żem piękna.

Karol. /całuje M. w rękę/

A ja powiem zaś najpiękniejsza.

Marya.

Dowcip, bardzo mi przyjemnie.

Karol /prowadzi Manyę na kanapę i siada z nią/
Uściśnijmy sobie, za dobrą chwilę pięknej nadejdą.

Anna.

Listonosz przemówił się do zastugi: tyle listów przyniósł.

Karol.

Ach prawda, niewidziałem jeszcze.

Amelia /siada na lewo/

Moje przedmiocie.

Karol.

To mnie bardzo, bardzo cieszy. Przynajmniej pamiętają o mnie. To studia dodają do dalszego postępowania. Manynio! tak mi lekko, tak mi dobrze!... Cały dzień unosiłem się po mieście, wszędzie zajrzeli mi, cieszyli się moimi imieninami. Jedna nerz nadwyrężał mnie wzruszyła. Jak ulica, jakiś staruszek zaczepił drogę i zagadnął dzień dobrym, wyciągał rękę drożnej i robił krzyż nad głową i mówił: „To co mogę ofiarować panu na imieniny, syn później swoją wdzięczność przyniesie ze wszystkimi“... Nie rozumiem, co to znaczy, ale takie nerwy dają potężne wrażenie, że zdaje się, iż pierś pęknie ze szczęścia.

Anna /chłodzi się wachlarzem/

Wszyscy ci winszują na ulicy i po domach, a nam tak przykro, bo wymknęłaś się, że nie mogliśmy powiedzieć, co czujemy dla ciebie.

Karol /Amelia też ociera/

Ludzie właściwie nie zważają na to, że ktoś tam imieniny obchodzi, więc dziś mnie więcej jak zwykle wypadałoby zajść, a ja wiem co czujesz, bo wzajemnie czujesz. Ja Mavpię kocham wszędzie i we wszystkiem, a Mavpia mnie wszędzie i we wszystkiem, co Mavpia?

Mavpa /oplata rękami szyję Karola/

Od dziś mam na imię Mavpia Niemiec.

Karol.

A — wszystkim takie imię. Jeszcze raz... /ll. wymiotowe/

Anna /wyjmuje z-za szmerówki fotografię/

A odemnie masz podobiznę kobiety, która na balach wyprosiła u mnie, bym takie odbitki ten upominek za serce, pracę, i niesienie ostrzeżenia wdzięczności przed sobą, pełna uwielbienia dla przewodnika społeczeństwa. /podaje fotografię stojąc naprzeciw/

Karol.

Panie mnie ta pani -/ogląda fot./ A — ta pani, pani Anna tak mnie zawstydza. I podziękuję to. Gdybym był trochę słabszym, oświadczyn na kanapach, a dopiero mam prawo do siedzenia na jasnowłosej klesce.

Anna.

Mężczyzny nawet powinien przyznać się do tego coś zdziałał.

Karol.

Chcesz powiedzieć w zarodku — Prosię ciotki karaś winna przynieść, trzeba napić się truskawki.

Aurelia.

Właśnie o tem myślę. /wychodzi na prawo/

Anna.

Taka jest, jesteś jak dąb surowy i silny, trzeba ci głuszo sokołów.

Karol. /wstaje/

Chociaż ciemno dąb, ugnę się i ucałuję rączki. Taka piękna prządka mitylko prząść nić, zapewne niejednemu młodzieńcowi mąci uprzędnie i natchnie do wierności i miłości /całuje rękę Anny/

Ilma. /z kokieterya/

Zapatrona w ciebie cieciałym prząść myśli do społecznej miłości. /Nadstawia twarz/ A w pipio. Jestem rodowo-cio-teczną siostrą twej żony.

Karol /patrzy na siedzącą Maryę/

Maryia będzie się chmurzyła.

Marya.

W małżeństwie kochających się niema zdrady.

Karol. /z ukłonem całuje Ilmę/

Żołaje mi się, że w raju jestem. Niemasz nad rodzinne życie. Dzisiaj tak cieciałym wam się wydaje nie poświęcić, kiedy wymogi towarzyskie każą mi z przyjaciółmi dziś o nic jutro wycałować się — Gdybyście widziały jak mi przyjaciół dobrze, jak na uczucie dziatek wielak swojej rodziny, ucze-go ogniska, gdy uczę się całym sobą własne gniazdo. Ca-zami chatka wtedy, ruciś ludzi, puścić wszystkich w nie-pamiąć i z wierną towarzyszką w chatce gdzieś na sto-łku ogóry zamieszkać i kochać i zalać szczęśliwem życiem i chować maiątki! /z wyrzutem/ Maryniu, czego my maiąt-ków nie mamy?

Klarysa.

Trzy lata po ślubie.

/Sługa wnosi na tacy wino i kieliszki ~~na zavar~~ odchodzi/

Anna.

Ja w dwa nie miałam, a nie jest łatwo chwały obiecywać, że zeale pocieszę. Trzeba po niego. Twie trzeba powiedzieć moich do niebo.

Karol.

Ty musisz być bardzo nieszczęśliwa.

Anna.

To niedawnego czasu tak było, ale gdym twoje życie ujrzała, tor, mam w tobie kaszę, jak chronić się od złego, jak zadowolenie znaleźć.

Karol.

Anno nienawidzę miny do kadzidła.

Klarysa.

Ona ma złotą naturę, że pochlebstwami odmienić nie łatwo rzecz nie.

Anna.

Zrenta tylko marne dziwactki wychodzą od kadzidła,

dołb bawi się dymem.

Karol (całuje Annę w rękę)

O ty modrzewiu porywowy...

Od strony prawej wchodzi Adolam Żabski.

Anna (nagle przerażona)

~~Karol~~ Adam! Karol! (cofa się w głąb)

Karol (zdziwiony)

Czy mnie oczy nie mylą.

Żabski

Nie mylą.

Karol (nagle i serdecznie)

Adaś, Adasiu kochany! Wiesz, że większej parady zrobić mi nie mogłeś! (ściskają się i całują parę razy) Mów, gadaj kiedyś przyjechał — To cichaczem, ani napisał! Adasiu, jak przyszłeś z tą brodą wyglądasz! (Do Anny, która wstała) Adaś Żabski mój kolega, towarzysz uniwersytecki, przyjaciel, druch, wspaniały najlepszy — moja żona, wielka pani Marysia, Jadwiga, Wandy trzyga i mój Witecka. (do Anny) Wy się znacie. (K. podaje rękę Żabskiemu)

Anna: (obojętnie) Tak, przypominam sobie pana Adama.

Żabski /kłania się Annie/

Z przed sześciu lat.

Karol.

Gdyś byłeś świeżo upierzonym inżynierem. Wiesz Maryniu, że pięć lat nie było tego zerwisu. Nieśmy o sobie nie zapomnieli.

Żabski.

Teraz może będziemy znowu razem. Jeżeli mnie nie przyjmiesz jak przyjmę się do siebie. Spróbuję na naszym polu orać.

Maryna.

To panna w kraju nie było.

Żabski.

Tak, pracowałem po różnych kuńtach i warsztatach za granicą.

Karol. /odbiera Ż. kapelusz/

Połóż że kapelusz na bok. Jesteś u siebie.

Maryna. /podaje rękę Żabskiemu/

Tak jest. Słyszałam o serdecznych stosunkach pana z Karolem. Bardzo cieszę się ze znajomości. Ale niestety panna nie ma.

/Maryna siada na kanapie, Karol i Żabski po lewej na fotelach, Anna przechadza się tyłem sceny. Żabski niespokojny

sięga Anna, wzrokiem)

Karol /uradowany/

Adamie, cóż cię tak niespodziewanie przypędziło. Musisz być już bardzo doświadczony, zmężniałeś na bohatera! Taka broda poważna.

Żabski:

Cha, cha, cha, zmężniałem na bohatera! Zdaje się zabić. Pamiętasz z czem odjechałem. Zrozumiesz, gdy powiem, że nieuniżeniem się.

Maryja

Cóż to tajemnego.

Anna /z przekąsem/

Pan Adam widocznie chce się różnić od innych mężczyzn. Na statecznej i wiernej cierpi.

Żabski: /odwraca się do Anny/

Uważam tę cnotę za najdoskonalszą dla niewieściego bytu.

Karol /do Anny/

A widzisz.

Anna

Powinszować...

Marya.

Jak wy się rozmawiacie.

Karol /wesoły/

Towiesz się Marysieńko o wszystkiem. Będzie nowe szczęście w naszym domu i w mojem sercu.

Od strony prawej wchodzi Ramowicz.

Marya.

To bardzo pomyślnie, takie w to wierzę.

Ramowicz.

Najuniżny sługa.

Marya /wstaje i biegnie do Ramowicza/

Pan mecenas postępuje jak prawdziwy przyjaciel.

Ramowicz /wita się z Maryą/

Chcę być prawdziwym przyjacielem powiatu.

Marya.

A dziś będzie kieliszek wznieść, niech się rozwiąże, powiem panu o kilku wesołych rzeczach.

Ramowicz.

Sługa pani, dziś także rozgoścam się.

Marya! Więc zostawiam Karola z przyjacielem. Dobrze?

Żabski /wstaje i kłania się/

Pani...

Ramowicz /zdziwiony/

Pan Żabski.

Żabski.

Pan Ramowicz.

Ramowicz. /podaje Ż. rękę/

Jakże miło odnowić znajomość z pod „palmy". Pana w kraju nie było.

Żabski.

Nie byłem.

Ramowicz.

Zapewne wtajemniczył kilku patentów.

Żabski.

Nie, zwykły robotnik techniczny.

Ramowicz.

Muszę wśród dwóch dziedzin skromności.

Żabski.

A co mi po rozmyślach i blasku.

Ramowicz: No nie, lecz ludzkie pracę się wyżej.

Karol.

Ale w skromności.

Klara. /energicznie/

Więc skromnych zostawiamy i przejdziemy z mecenasem do salonu /do Romowicza/ Twoi przyjaciele muszą się wygadać.

Anna.

A ja za wami, może coś skorzystam.

Żabski.

Pod jakim względem.

Anna.

Siądę w kącikach i będę myślała o niedopełnionych marzeniach lub o dopełnić się mających.

Wychodzą na prawo, zostają Karol, Żabski.

Żabski /cicho/

Co tu Anna robi!

Karol.

Już wdowa, wałęsa się po świecie i mnie znalazła. Zawsze miła i wesoła.

Żabski.

Już wdowa... wiedziałem o tem od kuzynki.

Karol.

Kocham ją, widocznie ciągle.

Żabski.

Do szaleństwa.

Karol.

Pobiorę was.

Żabski.

Będę ci mogł całować.

Karol.

Zatrzymam dłużej u mnie, niż tylko do lipca.

Żabski.

Które o mnie oni pomyślą.

Karol.

Już wiele doświadczyła, ustatkować się zrazu nie.

Żabski.

Jak grom z jasnego nieba — ona jedna z pierwszych kobiet mnie powitała, prosto z balu do ciebie pospieszę by ci po-winszować.

Karol. (ściska rękę Żabskiemu)

Życzę ci ze serca.

Żabski. / Karol nalewa kieliszki winem /

Fantazyą jest dawno bytem koło ciebie. Jak ziak z radości płakałem, że tak wiernie strzeżesz tego, cośmy dla szczęścia wytęgnęli. Ba, po gazetach o tobie piszą, tak ponurzyłeś zaśnieżoną naszą ziemię. U nas żeby jednem ptaszek tyle zrobił, zrazu wierzyć nie można.

Karol / trącając się kieliszkiem ze Ż i piją /

Zasługa dobrze omyślonej akcyi i tego, że miesawistym jestem i wieś pół mili od miasta.

Żabski.

Kornelia zapewne dobrze reutuje się.

Karol.

Oczyściłem z długów ojca posagiem żony.

Żabski.

A dlaczego w mieście mieszkasz?

Karol. / obaj siadają na lewo /

Codziennie miewał jestem na wsi, a tam obywatel Sikora tak znakomicie moje zlecenia wypełnia, sam taki sprytna rolniczy, że mimo tego, iż w mieście mieszkam, gospodarstwo moje do najwzorowszych w powiecie liczą. A że w mieś-

cie dopędzić stać na straży publicznych zajęć. Co chwili
pouczenia, rachunki, aż w głowie od cyfer szumi.

Żabski.

Czy nie uważasz, że my upośledzenie do cyfer mamy. Tyle
wieków rachowały za nas inne plemiona, że wyprodziliśmy
się do ekonomii; dlatego z głodu schniemy.

Karol.

Schniemy ale echnąć nie lękniemy. Młoda pokolenie sokolim
okiem będzie nad postępem czuwało.

Żabski (z uśmiechem)

Powiadają, że rojenia młodzieńcze to puch niewinny.

Karol.

Ci pedagogy, którzy nie wiedzą, że o czem młodzieniaszek
roi, to jego przyszłość, w fortalunym są błędzie.

Żabski.

Wnabs ciebie nikt stawszy mitości potępu nie uczył.

Karol (podaje Żabka. papierosy.

Nauczyli mnie moi przyjaciele i towarzysze. Ty dałaś da-
taś mi to, czem jestem.

Żabski: Trosz ciebie już lata minęły, jak obcowaliśmy.

Karol /zapala papierosy/

Ale podwaliny razem wybudowaliśmy.

Żabski.

Z zapałem biegłem w nasze strony pod twoje skrzydła.

Karol.

O, jesteś potrzebny jak oś do koła. Masz kasę na, nietrudno wynaleść, ale oni tak kradną. Tyle wypadku, tyle ambicji i egoizmu, że trudno coś zrobić.

Żabski.

Ja nawet i pojąć nie mogę, co zrobiłeś, jeś tak wtedy już tyle programu swego dokonałeś.

Karol. /zapala się: wstaje/

Kornelia dnia mi dochód niesie. I Marynia, zaczęliśmy się, więc z razu swoimi pieniędzmi wystawiałem. Trzysta tysięcy się kumorystyki z testamentu pewnego amerykanina. Miał trzy miliony i zapisał synowi jednemu na prowadzenie interesu, a dwa miliony na reklamę. Prawdziwa reklama, jasne przedstawienie rzeczy liczbami, praca i walka na słowa i cyfry musiały przemysłowe rzecz przeprowadzić. Więcej wszędzie organizowałem, więc za wierzem, rzucałem zapa-

tem i przykładami kilku prawdziwych obywateli, a w Polsce nikt prawie cyframi nie zaprzecza i ustąpić musieli. Założyłem wielką spółkę zbożową dla eksportu, obejmuje już sześć powiatów, muszę kilku zatwardziałych kapitalistów i mamy w mieście akcyjną garbarnią i obuwiem butów dla dwóch korpusów, za pomocą odpowiedniej reklamy wagonami wywozimy krajowe kilimki. Szlachtę na kupców przerabiam, niechaj broni wieśniaków od wyzysku. Dość mieliśmy obcego zjawiska i mamy, nauczmy się pieniądze sobie nie im dawać!

Żabski.

Żydowski ostatek jest podstawą cywilizacyi i moralności.

Karol.

U nas tak piękne pole do postępu czyli poprawy.

Żabski.

Więc hasło praca i wolność wojnicza mimo opozycyi.[2]

Karol.

U nas ciężko, kardy się bić stawa praca, przyjdzie jednak bo wiemy jak się zaprzyjaźnić z ludźmi. Wykarmimy Boryś ostatnią przyjdzie zawar, na ofiarność bezinteresowną liczyć

nie można. Pracuj więc, abyś miał za swoje zapłacone. Tym sposobem w górę będziemy się dźwigać.

Żabski.

Za prawdę dobra taktyka. Dla ratowania głodnych i wypryskanych obrabiać pasibrzuchów.

Karol.

Kapitaliści w Polsce są zwykle wielcy głupcy. Wozy ówcześnie my bojowskimi zapasami.

Żabski.

A znają twoje cele.

Karol.

Ba, gdyby znali, wszyscy odwróciliby się odemnie. Ale zdaje się przeciadacom, że dla ich dobra pracuję. Tymczasem zdradnie mięszam ludzie ze sobą Szlachtę z ludem, robiącym od-biorcami, a mam silną wiarę, że za życia mego w tem mieście i okolicy dalekiej podniosę rzeź dla pracy, zniknie kasty i wypryski, gdy lichwiarze z głodu poginą.

Żabski.

I zawsze jak optymista patrzysz mimo kilku lat próby.

Karol: Kto chce wiele, a nic nie robi musi zniechęcić się.

Ale kto przestanie na tem, że od nikogo niczego nie żąda, a wszystkim na dać wedle możności — nie jest w stanie rozerwować się. Dlatego żadnemu niepowodzeniem nie zrażam się i idę naprzód. Człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem, towarzystwo tylko może go poprawić, w towarzystwie tylko można wynić. Załatwiam spółki z drobnymi udziałami ale liczące po kilkaset złotych.

Żabski.

Chcesz prześcignąć zagranicę.

Karol.

I chwały i tak było. Czas najwyższy nauczyć "Polaków zamydlowi". Zresztą, chcę dowieść, że im więcej haseł na złotówkę, tem więcej zrobi. (zmienia głos) Ale zapalmy nowe papierosa.

Żabski. (obaj zapalają nowy papieros)

Przenoszę się myślą w nasze uniwersyteckie czasy. Tylko że wina nie było i skromniej w pokoju.

Karol (zbliża się, serdecznie)

Gdy przy dymie papierosów, w niebieskich błękitach unosiliśmy się nad brudy świata.

Żabski /ze smutkiem/

Byliśmy bardzo młodzi, weseli, wszystko różowo.

Karol.

Nieprawda. W wieku młodzieńczym uważać dzieje życia za wesołe najokrutniejsze nagie ad finem.

Żabski /wstaje popiwszy wina/

Gdyby tak można było.

Karol. /zapala się/

Adamie, słowa twoje nagodne nie są. To zniechęcenie, które około trzydziestki powoduje wiele ludzi napadami, to oporki objaw wczesnego zwiędnienia. Kiedyś człowiek na swoje utrapienia w każdej porze życia, a wszystkie stosunkowo jednakowe.

Żabski /poważnie/

Nie mówię to sobie codziennie. Wiesz, że rozumowania nasze za wesołych czasów podzielam w teorii, ale w praktyce jakoś inaczej idzie. Czuję, że mi młody, silny, a żal do życia ogarnia mi piersi, niezadowolenie ... Anna i Anna w pragnieniach, w myśli, we krwi ...

Karol

Skończmy się Adamie niekawem. Anna wolna rzecz niższej jak

kamia wody.

Żabki (zimka K.)

Poczciwy, zacny jesteś!

Karol.

Toż w górę duchy. Wielką pomocą w życiu jest przejście, że każdy wiek ma swoje równe cierpienia, choć przeste wydają się nam mniej odczuwalnymi, bo zapomnieliśmy. Lecz wróć do niedawnych czasów. Ileż razy niedzieliśmy do braku pracy rozmowie. Papierosy, kochanki bryndry akademickiej śmiały nam w oczy, a my serdecznie cierpieliśmy biadając nad biernym ludzkim i samolubstwem jednostek.

Żabki.

Mieliśmy chwile wstrętne, przypominam sobie.

Karol.

W latach wojen czuliśmy za wielu. Wtedy umarł ci ojciec. Jakby dzisiaj, lato, przypominam sobie twoją uwagę, że więcej się bolały nasze żale z powodu ludzkich zbrodni jak świadomość, że ojciec przeniósł się w świat lepszy.

Żabki:

Teorya piękna. Dziś zatarło się to i owo w mnie, a teraźniej-

szyć tak pali i drepcy.

Karol.

Więc gdzieś promienie twego stońca.

Żabski.

Duma.

Karol.

Więc widocznie Duma stońcem ci nie jest. Upadłeś bardzo wrażnie. Odrazu odgadłem i umyślnie przypomniałem ci lat dawnych.

Żabski.

Oho tak stósłkie wydają się, gotów jestem nie całą o tych minionych dniach gwarzyć. Wtedy Duma nadzieję mi robiła.

Karol.

Czyniż jak ludzi, którym nie przynależnie zdolne zostać szczęśliwe. Wierzę, że to jest pewnikiem, więc stosujmy się do tego: Nie należy przeceniać goryczy obecnej a precinstawiać przeszłej jako tegodniejszej. To silny herkulesowe dają.

Żabski.

Wiem o tem, a dlatego ulegam bolom jak niewolnik. Gdyśmy mówili raz o ideach, gdy na pogiełnicach zebrali się gawiś

popiołu, przyrównałem to do ludzkich idei.

Karol.

Marzenia i cele to stoicze ducha ludzkiego. Stoicze to otacza
ożywczymi promieniami w zwątpieniu, rozgrzewa do czynu.
I godziły Anna była stoiczem twego życia, myśl o niej, modlitwa
do niej dawały ci spokój i cierpliwość. Miłość Petrarki była
stoiczem.

Żabski.

Więc czem innem jest mi ukochana?!

Karol.

Namiętnością. Listy twoje do mnie pisywane przekonały
dostatecznie. Ty jej chcesz posiąść tak gwałtownie, że upa-
dasz bez niej, marnujesz siły. Odezwij, ona ci stoiczem nie jest

Żabski.

Mówisz filozoficznie, bo masz Marysieńkę i prózni nie
czujesz.

Karol.

Ale przysięgam, bo czuję to, że gdyby taki grom życie moje
przedarł, żeby Marya mnie zdradzić zechciała, uznam jej
wyjątki jako mamidła i będę z oddali w stoicze mego serca

patrat. Moich idei nie wyrzucę nie mogę, bo z ich zwiększeniem mnie nie ma!

Żabski (z podziwem patrzy w K.)

Mimowoli stajesz się kapłanem, a my sługami przy twojej ofierze.

Karol.

Przynajmniej ty na pochlebstwa nie pal się.

Żabski.

Wszyscy tak o tobie mówią, ja mówię w głos narodu! I przykład twój tyle zdziałał, że mistrzem się stałem jego tatrem.

Karol.

Ależ ja będzie miał za miesiąc.

Żabski. (z przejęciem się)

Ach! Golyluj, golyluj — (zmienia ton) Ale co powiem, że kuzynka która mi o niej donosiła odprzała od niej, że mnie znać nie chce.

Karol.

Dowcipuj się! Nabita jak butelka lejdejska. Dotknięcie, oddaci się bez namysłu, rucisię jak żaba na bekowiczku.

Żabski: Człowiek jest trzydzieści siedem. Bez niej życie moje ale=

mane bez naprawy.

Karel /surowo/

A ja ci tego zabraniam i przykazuję, abyś odszedł w pełni i powrócił nie na swoje nerwy, lecz w stronę patrzeć.

Żabski

Różne są zupełny stosunek.

Karol.

Ale klask i niepsto jednakie! Nietrzeba książki za stronę uważać... Kto się chce przy książce zagrać, zamnie szukać szkłami od okładu.

Od strony prawej wchodzą Marya, Anna, Wanda Cybulkowa, Cybulka, Murzyłło, Żbicki. Towarzystwo wesołe i rozgadane.

Marya /do Wandy/

Mąż witał się z dawno niewidzianym przyjacielem.

Wanda /do Karola/

Panie Karolu, czy można kazać czekać na siebie.

Karol /kłania się/

Pani – Maryna za to odpowie.

Anna: Maryna niechciała ci przebaczać

/Karol w następnej scenie wita się z panami, przedstawia Żabskiego rozmawia z nimi w tyle sceny/

Wanda. /do Anny/

Siądźmy tu, powiem wam szczerze oni wcale oni panowie Karol nie wie.

Anna /siada z Wandą na kanapie/

Pewno owacje.

Wanda.

Tak, uroczystość odbędzie się podwórzu. Za chwilę zapewne rozpocznie się. Robotnicy z akcyjnej przędzalni rolią korowód z pochodniami, przyniosą transparenta, będzie mowa na ulicy. Sami to urządzili. Niewiemczycie jakoś mi to radość sprawia. O, nigdy nie zdołuję, że wyrosłam z tradycyjnego kołtuństwa przesądów.

Marya /stoi naprzeciw A. i W. Zlickich bokiem/

Z rodzicami zapewne dawno nieuwidziałaś się.

Wanda.

Na owy miejscu nie widzieć. Pani Cylulkowa to w ich domu złe powietrze, bo jak bez herbu i tradycyji można się pokazać tam gdzie prastarego szlacheckiego gniazda.

Anna: /wesoło/ Z jastrzębców Rozbeckich-Cylulkowa /

Wanda.

Mnie samej śmieszne się wydaje, więc gdy przed ślubem rapt
ojciec zamiast błogosławić, przeklął — z daleka bocham
rodziców.

Anna.

I tak nic sobie pani nie robi z przekleństwa.

Wanda.

Ci, którzy po dobrem winie czytając poezye, miłość i powi
dzeli uważają za wekarówkę do małżeństwa, a gdy chcą
o małżeństwo przeklinają, gdy narzeczonym jest wyjątko
wy ale rycerz w przemyśle Cybulka, za wtedy niepozy
talni, więc ich przekleństwo nic nie znaczy. Ludzie powinni
wyżej cenić wzniosłe wydatki ducha, dlatego nie uwa
żać za okropne tego, co w zapamiętaniu wypowiedziało się.

Marya.

Wzamej rzeczy, jeżeli narzeczony bogaty lub umie robić pie
niądze, śmiesznym jest zakaz, choćby nazywał się ów wybra
ny piekarczyka.

Wanda.

Maryniu, zwrot więcej różnimy się. Innaj byłaś przedtem.

Nie idzie o pieniądze ale o rozum. Serce znalazłabym i w rzadkiej przeciętnej. Miałam kilku konkurentów, którzy mając wsie, mieli i serca, ale gdy widziałam, że tradycja nie pozwala im równość cenić bezwzględnie, wolałam wyjść za człowieka pracy i walczącego się.

Anna.

Dziwi mnie tylko, że bawią panią niewdzięczne prace społeczne. Całymi dniami po zebraniach...

Wanda /wstaje/.

Już będziesz słyszała, co będą mówili. Serce się topi jak wosk i łzy cisną się, gdy zobaczysz tradycyjne przyzwyczajenia w zgodnym uścisku towarzyszyć. Sama myśl, że dźwigamy się z pod przemocy kabały i egoizmu dlaję mi skrzydła.

Maryja.

Opuszczam zupełnie wasze koło. Ludzie opuszczą, a wnętrze człowieka zostanie świadkiem walki i życia — dbam tylko o zadowolenie mego wnętrza.

Anna

Ja tylko w miłość wierzę.

Wanda: Ty będziesz nienawidzona całe życie i będziesz taką,

jak pan Zbicki.

Manya (do Zbickiego)

Stpzy pan.

Zbicki. (do Manyi)

Szkoda, że pani tego nie powiedziała. Byłoby efektowniej.

Wanda (do Manyi, bierze ją pod rękę)

Manyuś wezmę cię na rekolekcye. Odmienię się zupełnie. To wstyd, że żona pana Kawala nie należy do żadnego towarzystwa kobiecego. Mamy oddział kobiecy towarzystwa szkoły ludowej, przytułek mamy dla biednych, towarzystwo akcyjne kolonie dla utrzymywania parku systemu Jordana, żeński oddział towarzystwa gimnastycznego — widzisz to w mieście niewielkim. Tak pracujemy dla ręścia drugich i własnego.

Manya

Ludzi tem nie naprawicie, a stracicie wiele czasu i pieniędzy, zamiast korzystać z życia i używać.

Wanda.

Na 100 kobiet 80 mówi jak ty. Ale procent opozycyjny powoli zmniejsza się.

Anna: To chwilowy zapał.

/Przerywa huczny śmiech panów o tyle sceny/

Wanda.

To nego pan Karol się wermie, to fundamentalne.

Od strony prawej robi się ogród, wbiega Trąbiński/

Trąbiński. /do Karola W./

Panie Witeczki dla Boga, deputacje nadeszły! Gwałt robimy w pańskim domu, ale to dla niebie dalibóg, dla dobrej opinii jak Boga szczerze kocham! /powtarza K. podrzędnie/

Karol.

Ależ spieszę kochany redaktorze. Panie Murzytko, pomówimy kiedyś o pańskich zamiarach. /do Marii/ Mówmy, więc tu zostajecie?

Żabski. /zbliża się za nim inni/

Pójdziemy z Karolem, wszak prawda.

Zbicki.

Przypatrzyć się parodzie.

Trąbiński.

Dalibóg warto, rozkoszna rośnie, jak Boga szczerze kocham!

Marya /żywo/

My za chwilkę przyjdziemy.

Karol /do Marii/

Cóż ty Marysiu złota bez humoru. Żona powinna towarzyszyć w uroczystym dniu mężowi.

Wychodzi z ~~Karolem~~ z Cybulką. Trąbiński na słowa A. wraca/

Anna /do Trąbińskiego/

Skąd deputacje panie Trąbiński?

Trąbiński /głos na cienki, ~~karko~~ wkładem/

Lepiej zwykle pisz niż mówię. Bo co innego adwokat, a co innego dziennikarz. Jutro będzie to opisane w naszej gazetce jak Boga szczerze kocham. Deputacje różnych naszych dwuszczęściowych towarzystw z miasteczek i naszego miasta przyjęły wieczorem prezydentowi. Gdyby pani zleciała, to mógłbym napisać artykuł, że w stolicy to nie objawia się tak uroczyście. Ale w naszym prowincjonalnem mieście, skąd wywodzimy sztandar równości, a w gazetce narobiliśmy chałasu, wszystko się rozpaliło. Pani, to bojowe następstwo pracy naszych poprzedników od Mickiewicza Krasewskiego począwszy, jak Boga szczerze kocham...

Anna: Coraz więcej mię to cieszy.

/Marya rozmawia z Murzytto, Wanda ze Żabskim, Zbirski chodzi krok w krok za Manyą./

Trąbiński /powoli zamyka wszystkie szuflady/

A stypatem przepraszam, że pani wdowa i dzieci mieni. Przepraszam za obecność, ale drzemikowanie tak najlepiej. Wtóż pani, to materyał na pracownicę naszych celów. Chcemy wszystkie bezdzietne kobiety, wszystkich majętnych, którzy mają więcej czasu i pieniędzy niż byt ich wymaga, zaprzęgać obowiązki lub pracą do taczek, którymi wypełnimy kopiec dobrobytu i oświaty, jaki Boga mienę kochamy.

Murzytto /zamyślony/

No nie nadrzędę. Nadrzędza matka głupich.

Trąbiński. /urażony/

Kto pierwszy drzemnik w kraju założył kontrolujący sześć rzeźnickich rocznie, a w tajnem wydaniu ustawy, mający 6.000 prenumeratorów, ten może w Polsce powiedzieć, że nie tudzi się. Przez osiem lat pracujemy!

Murzytto.

Bogu Najwyższemu dziękuję, że Pan mnie zdołał mnie przekonać. Widzę, że chcecie szlachtę zniszczyć, widzę, że chce-

nie kontuzje kosmosu, chociaż sami sukna przymierzać po ukończeniu uniwersytetu! Hola mości panowie! Wątpię nie mi się kręci, myślę sobie, że sztuczki wyprawia jak samowarowi bez węgli! Było dobre, będzie dobre. Idę na większej pozycji operacyjnej zakładowy. Dreer z interwencjonatem. Świat się przewrócił. Szukam z Illichowskim za zlachtą, a tu spotykam kupców zbożowych. Proszę na polowanie, jeden, drugi wymawia się, odjeżdża za dzień, a tu ja zaklinam na wszystko, że przy okazji wyprawa po zlacheckiu i w karciki zagrać i pohulać dni parę. Serce mi się kraje, gdy owegdaj przyjeżdżają dwaj praktykanciki sądowi, twierdząc że chcą się do ligi zapisać, bo w kasynie miejskiem przemiłe wygrane dla jakiegoś tam towarzystwa szkolnego wykładają. Ligę utworzyliśmy, zniszczymy was! Już mi się chłopi zta, wiają, niechcą „Skakuna" czytać, robić im się niechce! Tfu! Tfu! Tfu!..

Wanda /imieniu/

Święte panisłabie obuwnie!

Illuzytta: Wierz pani, że w Polsce nigdy tego nie było.

Trąbiński.

Ale jest, chociaż stabilniuchne na razie!

Marya.

Bawcie się, gdy ogłosicie upadłości i niewypłacalności, będzie pod sądem opinii za winy odpowiadać.

Trąbiński (uniżony)

Ależ pani dobrodziejko, będzie nam miło w kawcerze siedzieć.

Żabski. (do Marji)

Smutno, że u nas tak przeszły zakorzenione.

Marya. (ostro)

Żal dla swojej krytyki po poznaniu treści. Karol trwoni pieniądze, czy małżeństwo mogę pochwalić.

Wanda.

Nigdy! Małżeństwo to przeżytek, przeciw której walczymy. Więc aby nam nie ~~Karol~~ marnować, chodźmy do salonu.

Marya.

Za chwilę przyjdziemy – tam tylu panów.

Wanda (energicznie)

Kto nienawidzi sekciarstwa za mną!

Trąbiński: Jak Boga szczerze kocham...

Wychodzą Wanda, Trąbińska, Żabska, zostają Marysia Murzyłło, Zbicki, Anna. Anna idzie ze Zbickim na balkon.

Marysia /gorączkowo do Murzyłły/

Więc jakże panie Murzyłło, z ojcem już porozumie-[2]

Murzyłło.

Ciężko nam obydwom było, ptakaliśmy jak dzieci. Coś kiedy tamujący brzytwy się chwyta. Zawarliśmy już układ wzajemny. Pan Hilary przyjął pit do ligi i prospekt za 20% batamin. A co rachunki Karola.

Marysia /siada/

Tak, tak, wyrzec się trzeba skrupułów, gdy o wielkie dzieło chodzi.

Murzyłło /wzruszony/

Nie wiem jak ty, ale ja jestem dziękczynny, jak cała szlachta będzie dziękczynny pani za podanie myśli. Ja i Michałowski ułożyliśmy plan kampanii. Spółka zbożowa w Łebie weźmie, diabli zgruchoczą całą maszynę! /gwałtownie/ Nie mogę patrzeć spokojnie na panowanie panoszących! /z żalem/ Ileż Karol robi, czy pana Antoniego, z którym tyle dziejów przeżyliśmy! Hańba na nas za nasze herezye! Jakżeż, żeby już szlachcic nie mógł robić co mu się podoba... Pani,

ja straciłem tego roku, a on śmie mówić, że w tak wielkim obszarze strata biletów wódzkich nic nie znaczy, gdyż to na dobro publiczne poszło. Ale ja już towarzyszów nie mam. Celem mym jest chowanie tradycyj — już niema takich roku mnie pomogli! Niema ludzi, zginąć musimy! Boże Najwyższy!

Maryna.

Panie Murytto, nikt nie może rządzić od świata, by wszyscy panowali. Część ma panować, część ma urodzonych do tego robić i zastugiwać się. /wstaje/

Murytto /z przejęciem, całuje M. rękę/

Ruci ratować, ruci ścisłać pani!

Maryna /Anna z Elickim zbliża się/

My urodziliśmy się do władzy. Patrz pan na historyę, wy byto kiedy inaczej. Ludy giną, rządzą panowie wedy lepszej rasy panować. Wijować fantazyj szlacheckiej, romantyzmu wieść życie, w stepy uganiać, w kniei iść z sielskimi, bogdanki zdobywać!

Murytto /całuje rękę Maryi/

Pani święte słowa! Na kolana padać... ruci ratować!

Maryja. (z zitą)

A my kobiety tej lepszej rasy, mamy otaczać się bohaterami ideałów, oni o nas walczyć muszą, a my w złotogłowiu, w kosztownym pałacu z uśmiechem patrzeć na zwycięzcę!

Murzyło.

Jak tam! Mówić łagodnie – trzeba palnąć mowę opozycyjną. Tak, wieść życie tradycyji i kastowych zwyczajów i opozycyję z kordem w ręku stawiać tym, co krzywdzące rozkazy chcą wprowadzić. Górą Ligor, górą opozycya!

Wybiega żywo na prawo.

Anna.

Powinnowaćć Maryjun, umieć walczyć, gdy chcesz.

Maryja.

Chcę walczyć, gdyż mam prawo być wyzwoloną i dostać czego pragnę.

Zbicki.

Pani już tem samem wyzwolona, że twierdzi, iż ma prawo.

Maryja

A pan niemasz prawa?

Zbicki: Ja już niemam, prawo mnie mieć ten, kto silny, ja

siły nie mam. Wołam jak opragniony na pustyni, miłości dam tam, kto mi ożywiającej wody przyniesie, nikt mnie nie słucha, nikt na świecie...

Anna.

Pan zamówiły do stołu takiego.

Zbicki

Czterdziestka się zbliża.

Marya /siada zalotnie na kanapie/

Anno... /wskazuje oczyma, że ma wyjść/

Anna.

Człowiek w czterdziestu latach, to sama potęga rozwinięta.

Zbicki.

Ja już rozwinięta.

Anna.

Wstydź się pan i głośno tego nie mów! Będą się z pana śmiać: ha, ha, ha... /śmieje się ochoczo/ Przepowiadam panu że się zakochasz, albo już jesteś szalenie rozkochany, ha, ha, ha...! /wychodzi na prawo, skąd słychać gwar więźniów/

Marya.

Przypomina pan sobie naszą wczorajszą rozmowę.

Zbicki (obojętnie)

Czy przypuszczam sobie. Myślałem o niej przez wse całą.

Marya.

Kto panu pozwolił o tem myśleć.

Zbicki.

Kto panią ~~słuchał~~ słucha, mimowoli później o tem myśli.

Marya.

Dlatego pytałam, gdyż chcę się przekonać, czy słucha mnie pan uważnie i czy przejmuje się moim kierunkiem.

Zbicki.

Czy przejmuję się pani kierunkiem. Śmiem się pytać, kiedy pani wie, że jestem na jej skinienie.

Marya.

To dobrze, bardzo dobrze. Od razu, kiedy zaczęłam pracować nad panem, aby mu wrócić dawne namiętności, czuję, że mam wpływ na pana. To tylko od wpływu zależy skuteki nauki, o którą mnie błagałeś.

Zbicki.

O tak. Do chwili, w której panią poznałem nie tak nie panowało we mnie, ja nawet nie wzruszałem się widząc wal-

ki byków w Madagascie. Wnyptkim mnim zgaciadom w loży
zyttki nabiegały na very, ja statem zółty jak tenar i wcale
mnie krew byków nie oprała.

Manya. (salutuje)

Więc pan bery przypuszczy się, że mnie poznałeś. Przyznam
się, że może nieprzyzwoicie byłoby podjąć się poprawy pań-
skich nerwów przez wzgląd na mogącą wynikuąć zazdrość
innego, ale odpowiedzy dziwnie łatwo, temu jednak ostatniemu
powinna od zguby uratować, podjęłam się zadania.

Hicki:

Za którą nagrody nie znajdą.

Manya.

Dziwnie pan to powiedziałeś. To właśnie pana próżnemu
urzyto, iż jako nieżonaty nic od kobiet bezpłatnie nie
otrzymywałeś. Kobiety, a te były celem pańskiego życia...

Hicki (żywiej, robi ruch ku M.)

Tak — onieśtem służyłem, alem się już przeniebił.

Manya.

Kobiety mają tę właściwość, że natychmiast poznają, kto ma
w nich słabość. A że miał pan zawsze dosyć pieniędzy,

a obracat się prawie między takimi kobietami, które za względy stów kazą sobie płacić — prawda że tak — nawet inaczej mówić nie umieją, tylko o nagrodzie.

Zbicki (wzdycha)

Prawda...

Marya.

One zawsze pewnie wygranej, wyliczy jedynie na pomówkę mamę panie Zbicki, a pana zbywszy uśmiechnie się, wyjaśniając krew, nie dlatego w zamian prawdziwego uczucia nie dostał.

Zbicki.

Jak przez sen przypominam sobie, ośm lat temu, zanim zacząłem się morfinować, jedna z aniołów bardzo mi wiele uroku sprawiała.

Marya.

Ale kobieta kupiona nigdy nie jest w stanie prawdziwem uczuciem odwzajemnić się.

Zbicki.

Cóż mogłem robić.

Marya: Wszystko zależy od wpatrzenia. Pan sądzi, że Karol

tyle szpilek wsem innem, jak wypianiem ludzi!

Zbicki.

Gdyby mnie wypił kiedy, jakbym mu dziękował.

Manya.

Srodaj pan przyjmie. /Zbicki wsiada/ Dalej – w drugim rogu kanapy. Tam panu wygodniej, niż przyjmie, a siadanie obok kobiety kochanej przez mężczyznę, jest wzbronione, gdy ona bez ślubnego towarzystwa.

Zbicki.

Dlaczego?

Manya.

Wytłumaczę panu dlaczego, ale później.

Zbicki.

Stuchałbym chętnie pani tłumaczeń.

Manya.

Ale widzę, by pan jak z kamienia, póki martwej to przyjmował.

Zbicki.

Owszem z zajęciem...

Manya. /energicznie/

Ale okazać zajęcia więcej! Więcej romantyczności, serca,

nerwowa, tez, no ptaur pan!

Zbicki.

Zarem mam ptakać, majątku nie straciłem.

Marya. (niecierpliwie)

Mam pan uroić tę natrętność, wytłumaczę to zażalenie

Zbicki.

Niemogę.

Marya.

Spróbuj pan. Wyciągnij chusteczkę i przyłóż do óka.

Zbicki (wyciąga chust. z kieszeni wypada flaszeczka)

Ach! morfina wypadła.

Marya.

Niepogniewaj się pan. Sam sobie humor obieracz. Płacze
pan? (zagląda Zb. w oczy)

Zbicki (przeciera oczy)

Jest.

Marya.

Ile ten wypłynęło z prawego oka.

Zbicki.

Albo wiem ile.

Marya.

Poradnij pan.

Zbicki (próbuje prawe oko)

Prawe oko zupełnie suche.

Marya.

To popróbój pan lewe.

Zbicki (uśmiecha się do siebie)

Lewo oko wilgotne.

Marya (wstaje, Zbicki wstaje)

Widzi pan. Uniesz płakać

Zbicki (chce wstać i ucałować rękę M.)

Pani pozwoli.

Marya.

Siedź pan spokojnie. Tłumaczę panu dalej powiem, że dwa-
ście lat temu niezawodnem lekarstwem dla pana było
małżeństwo.

Zbicki (żywiej)

Dziesięć lat temu już mnie dziwica zupełnie nie obchodziły.

Marya.

Gdyby pan było stanęło i pana przed dziesięciu laty malarka, wiera-

wodnie wspaniałym panienkę pięknej i serdecznej, choć=
by ubogiej.

Zbicki.

Ubogo żenić się nie mogłem, gdyż w naszej rodzinie było po=
karaniem żenić się równo.

Marya.

Idzie na to, że gdybyś był się ożenił, byłbyś uratowany. Już
od dawna brakuje nerwów, dróg, serca. Idź trudny na=
tunek bardzo trudny.

Zbicki.

Mnie się zdaje że rdza moja do końca niedługiego życia zosta=
nie. Gdyby mi się zdarzało nabić rewolwer, idź odebrałbym
sobie życie.

Marya. — — —

A majątek?

Zbicki.

Widziałby ten, któryby przyszedł pierwszy.

Marya (pewnie ale z wahaniem)

Ale skoro pan zobowiązał się kurs nowego życia umnie
przebyć, wobec mnie staraj się wyparzać najmniej lek=

kompletnie. Słuchaj uważnie! Żenić się nie możesz, kupiec-
na kobieta chorby klasycznej piękności nie rozgrzeje cię, je-
dynie poświęcenie ale jakiejś pięknej, mądrej, z równej sfery
kobiety, umiejącej mieć wpływ nieograniczony na pana
i rozbudzić tzy, serce...

Zbicki /mocno się na kolano/

Ty pani wszystkim mi dziś jesteś. Błakatem przed chwilą na
twe wezwanie po dwudziestu latach suchych oczu i rozpa-
czanych. Tyś mnie przykuła do siebie, oderwać nie będziesz
w stanie!...

Manya /odważnie/

Wstań natychmiast, mam męża!

Zbicki /wstaje i śmieje/

Masz męża! A co mnie to obchodzi. Lew się we mnie budzi!

Manya /patrzy w Zbickiego/

Nie pozwalam nieśmieć się względem mnie do ekscesów, ma-
tylko doskonale pamiętać co winien i codziennie więcej
niem przychodzić do mnie na lekcye.

Zbicki /wstaje/

Przysięgam.

Za sceną od prawej strony stychać oklaski, śpiew chóralny „niech żyje nam", znowu oklaski, Marysia i Zbiński stu-chają uważnie. Z oddalenia stychać muzykę grającą mazura, na ulicy robi się jasno, muzyka zbliża się. Na to od strony prawej wbiega Trąbiński z serwetą u szyi i bielizną w ręku, za nim Karol, Ramowin, Żabski, Hilary, Cybulka, Murzyło, różni panowie źle lub lepiej ubrani, scena się napełnia, za chwilę wchodzi Olmer pod rękę z Wandą (~~[illegible]~~) Na ulicy oklaski „niech żyje", muzyka ~~gra~~ ciągle, oklaski trwają.

Karol (do Marii)

Marynia jestem szczęśliwy!

Marysia (muzyka i gwary cichną)

Ja obecnie również.

Cybulka (do Karola)

Karolu stanowczo będziesz burmistrzem.

Ramowin (ironicznie)

Pan cudów dokazał.

Murzyło: (do Marii) Parada, jak to bywało umie paradę urządzić.

Trąbiński (który wybiegł na balkon, wraca)

Witecki, ziewając, był na balkon wyszedł.

Karol (wzruszony)

Wszędzie wyjdę, gdzie wy mnie wzywacie moi obrońcy! Cóż tam będzie, co będą mówić!

Trąbiński (ujmuje K. za pół surduta)

Lepiej wyjdź pan na dół, jak Boga mocno kocham!

Cybulka.

Tak, chodźmy na dół, ręce im uściskamy.

Trąbiński, Cybulka, Karol wybiegają na prawo, na scenie gwar i zamieszanie, dwie dziewczki po krakowsku ubrane roznoszą wino na tacach. Muzyka i wiwaty powtarzają się. Wanda, Ulma, Marya, Żabski, Zbicki na przodzie na lewo, później schodzą na tył i na balkon.

Ramowicz (wpatrując z pomiędzy panów)

Więc bardzo uroczyście obchodzimy dziś pana Witeckiego!

Piaseccki.

Nasz prowodyr, nadzieja mieszczaństwa!

Silvva.

I nadzieja rewolucji!

Ramowicz.

Mój panowie! Jakkolwiek nie i znamię pana Witockiego i z wylanem sercem podatem mu oltoś dobre życzącą, śmiem mówić panom, szczególnie panom reprezentantom mieszczaństwa, tym ludziom, dla których w pracy wtoś mi się przewidzi, zrobić uwagę, że nieprzepisowie się należycie zasadami głoszonymi przez soleniszontów.

Na uliny stychać wyraźnie, gdyby ktoś mówił.

Któryś z gości

A, proszę, zawsze z nim idziemy!

Ramowicz.

Nie proszę, że dziwnem się wydaje mnim panom, iż ten w jego domu, gdzie widzicie jego osobę tak wiele wróżącą dobrego, gdzie przysięganie z kielichem w ręku wierności i przetrwaństwu, ja zrobię uwagę, że przekonania jego nie rozumiecie dokładnie. A tak, niedokładnie. Mam na myśli antyjhat w gazecie z przed kilku dni.

Piasecki:

Zapewne ten o wyborach burmistrza.

Ramowicz: Tak, sam mi ułatwiasz panie Piasecki. Dziękuję.

jąc ze sprostowaniem, chcę uzupełnić to wszystko, cośmy mówili w gościnnym domu pana Witeckiego. Podaje autor artykułu, zapewne on sam bilko cennych uwag. Wyjątek przeczytam: /wyjmuje z zanadrza gazetę i czyta/ Obywatele, nigdy jeszcze osobę nie obarczamy ciężarami. Chociaż godny kandydat wielu urzędów, wielu publicznych obowiązków, stąd musimy się liczyć, czy siły jego wystarczą, czy odpowie zadaniu wobec rozlicznych innych obowiązków —

To zdanie dobitnie określa, że nasze stronnictwo z panem Witeckim na czele, kazę nad wyborami zastanowić się i wybrać do rady miejskiej samych mieszczuchów i mających nas do pracy i siły odpowiedzialne.

Piasecki /między obecnymi powstanie/

Omawialiśmy w stowarzyszeniu zaliczkowemu wybory i głosujemy na kandydatów mieszczuchów.

Romanowicz.

Zapewne pan Witecki kandyduje.

Piasecki.

Kandyduję na radnego i burmistrza.

Romanowicz: Konstatując za sprostowaniu, śmiem prosić no-

ich panów o dokładniejsze zbadanie sprawy i myśl stów dziennika naszego. Pan Witecki ciężko pracuje, należy do ludzi którzy tylko pracą zwoziają za cel i początek wszystkich działalności. Wiadomo nam wszystkim że urzędów ma wiele, w tylu instytucyach prezyduje lub sekretaruje, iż dziwnem nawet wydaje się, że wszystkiem sitami i dokładnie nie upadł.

Pisarecki.

Gdyż on tylko daje wskazówki.

Ramowicz.

Choćby tyle tylko, jiż trzeba zdolnej woli, zdrowia ze stali. Ludzie prawdziwej idei, nie zważający na zaszczytem, patrzący tylko w spełnienie obowiązków, bardzo niechętnie przyjmują urzędy wymagające więcej pracy niż pożytku. Ludzie, którzy rzeczywiście chcą podnieść poziom moralności i cywilizacyi zawsze do dotu zaczynają, starają się o dokładny przewrót poglądów, by tem pewniej wierzyć w zwycięztwo swoich stanic. Nigdy nie ufam ludziom, którzy po władzę tylko sięgają. Ideałem człowieka jest pracować na jednym dziale, bez poświęcenie mu całego siebie.

Na ulicy mowa dalszych nadesła, muzyka grała marsza „Jeszcze Polska nie zginęła". Na scenie rozkazują i słuchają. Ramowicz stoi osobno. Za chwilę wszystko zielenie.

Ramowicz.

Nienawidzą żadnej w tem korzyści, gdy będziemy drogiego nam i kochanego sobie zmartwychwstać obserwować. Sami się pozwijemy taką siłą, podamy nam rękę do zawarcia!

Hilary (który stoi z Muzyttą na lewo na przodzie)

Brawo, doskonale mówi.

Muzytta.

Mówi znakomicie Ramowicz. Zdrowie mecenasa Ramowicza!

Wszyscy razem goście.

Niech żyje, zdrowie Ramowicza! i t. d.

Ramowicz odbiera kieliszek od stojącego obok i trąca się z kilkoma.

Ramowicz (podchwycony)

Pan Witecki za krótkie dane, za potrzeby uciśnionych, ale przyznam się panom moim, że na administracji znać się nie mogę, gdyż jest za młody.

Piasecki.

Właśnie chodzi o administrację majątków miejskich. Osobiście wglądnąć gdzie podwajają się dochody, a zkąd długi rosną.

Ramowicz.

Pieniądze wychodzą na wzrost miasta.

Piasecki /rubasznie/

Na pieśni dla dotychczasowych burmistrzów.

Ramowicz.

Niechcę być radykalnym dworzy mi panowie! Nigdy nie oceniamy ludzi bez dowodów, jak cała nasza frakcyja radykalna! Ale właśnie chcę powiedzieć, że metody statystyki, rolnika, nie mogą mieć praktyki administracyjnej. Urząd prezydialny miasta opiera się na suchych cyfrach! Panowie! Nie pozwolimy moralnego przedstawiciela naszego życia w mieście, nie pozwolimy zagrzebać się w suchych cyfrach: drobnostkach! Powtarzam słowa artykułu wyborczego: Obywatele nie obserwacyjne jednostki, jest wielu godnych: doświadczonych!

Hilary /wstępuje z bieliznką w ręku/

Ja jestem ojcem jego żony. Czy nie zaszczytnie byłoby mnie

widzieć rzeźbiarza naszego miasta! Ale nie widzę w tem konkurencji ani dla miasta, ani dla niego! On ma zajęć jak dość więcej niż powołań potrafi, naraża się wszystkiemu ze strachu bierze pomowie! Niech pracuje w swoim zakresie, a tem do niego wykształcenie się. Sam nie przyjmie godności, gdyż mówi, że niego kto się nauczył, tem w życiu działań powinien! Podziękujmy mecenasowi Romanowiczowi za jego uwagi. Obywatele — w jego ręce! Niech nam żyje!

Wnpcy (rzucają kwiatki)

Niech żyje obywatel Romanowicz! Niech żyje mecenas!

Hilary

I konsumator.

Wnpcy.

I konsumator! Niech żyje mecenas!

Kilku podchmielonych śpiewa chórem „niech żyje nam" na ulicy muzyka gra, słychać „niech żyje Witecki", „wiwat Witecki" i t. d. Zamieszanie ogólne, tony i głosy tworzą dysharmonię.

Zasłona spada.

Akt drugi.

Scena przedstawia po wiejsku urządzony salon. Wiele kwiatów i zieleni i mebli z drzewa pleciowych. Tył sceny prawie otwarty, przedstawia krytą werandę, przez którą widać klomby, trawniki i drzewa ogrodu. Na ogród słońce pada tak, że nań połowa odbija. Okno i wielki oszklone drzwi od tyłu otwarte; drzwi na lewo i na prawo.

Marya siedzi na kozetce i trzyma książkę w ręku. Hilary w letniem ubraniu całkiem jasnem chodzi i pali fajkę. Kapelusze słomkowe na stole i parasolka.

Chwila milczenia.

Marya.

Więc ojciec nic na to nie powiada.

Hilary (z miejsca w tyle)

Żeś mam powiedzieć. Nic lepiej tyło mi żyć spokojnie.

Maryja (skwapliwie)

Ale nem. Czarny chleb mi bawi, bodwo zyci.

Hilary.

Kiedy jiz Pan Bóg mnie ukarał, żem majątek stracił, tyle mam spokoju, żem siebie wydał i rentka, majątek zięcia zarządził, niechcę mieć więcej kłopotów. Idź ich w zięcin miastem. Ajakie, codzień dosyć.

Maryja (wstaje)

Dziwię się ojcu bardzo, że tak obojętnie patrzy na moje plany.

Hilary.

No bo pewnie. Wstyd szlachcicowi w brudne ręce wchodzić. Zawsze mam zamiłowanie do zamiatu bezrobocia, by spokojnie robić testamentu.

Maryja.

Ojcze, córkę tem obrażasz.

Hilary.

Wolę siebie obrazić niż narażać się i ludzi szerzyć na siebie.

Maryja.

I wolno ojcu więcej dbać o siebie jak o rzeźcie jedynaski.

Hilary: (cicho) Ouvrem Maryniu, radzę ci nieba przychylić.

Marya.

Ojciec wie doktadnie, co ja niebem na ziemi nazywam.

Hilary.

Wiem, lecz nierozumiem ciebie.

Marya.

Bo ojciec starej daty i zapiekzony.

Hilary.

Niech będzie, że starej daty, ale mi stem dobze. Mój Boże, ode. brałaś mi spokój. Zamiast kochać swego męża i umieć cenić jak o nas się troszczy, rwie ci się po głowie rebelia. Masz za przywileje urtymanie, jesteś współwłaścicielką pięknej wsi.

Marya.

To mi szczęścia nie daje. Jo mamę być nie lionerką, i będę nią. O ludzi niedbam, bo oni wszyscy nienawidzą Karola i sobie mylą a drugim wszystkiego zazdroszczą. Zdolabym sprzedam majątek, zniknę z tego niegościnnego kraju, i życie przepędzę w rozkosznym zbytku. Są duchy, którym dobze na łożu z brylantów, ja mam duch taki, i dla jakichś względów mam umijać szczęście, które ciśnie się do mnie gwałtem!

Hilary. (zapala fajkę)

Czy ciśnie się gwałtem, to pytanie.

Marya

Trzeba ojca rzucić fajkę. Gdy dopną swoich celów ojciec wtedy nie będzie wypadało fajkę palić. To po chłopsku i po ranemu. Za granicą milionerzy palą cygara hawańskie.

Hilary.

Wtedy nas ciężko ludzie nie będą otaczać. U siebie, w ciepły czy to ulubiona fajeczka bardzo dobre będzie robiła.

Marya.

Ale ja będę się uważała hrabiną i nie będę mogła znieść zapachu fajczanego.

Hilary (wesoło)

Wtedy obecnie dobre znosisz.

Marya (zatrzymuje)

Bo muszę, bo jestem nieszczęśliwą męczennicą miłosierdzia, chłopomanii.

Hilary.

Marzyłaś mężów tak, przed kilkoma laty inaczej mówiłaś.

Marya: (rozgniewana) Nigdy inaczej. Krótko na ojcu po-

mięć. Dlaczego wyjechał za Karolem?

Hilary (zapala fajkę)

Bo kochałaś go.

Maryja.

Przypomina sobie ojciec, gdyśmy prawie znienawidzili mężczyźni, że Karol tak sprytny i przebiegły będzie umiał majątku dobrze bić się.

Hilary.

Mieliśmy takie marzenia, ale zaraz zgodziłem się, że to marzenia nie zostanie. Wtedy obok tego szalałaś za Karolem.

Maryja.

Właśnie dlatego, by celu dopiąć, dziś ani zawadto wszczarowałam się (siada przy stole) Ojcze, jestem bardzo nieszczęśliwą, w Zbichnie całe nadzieje!

Hilary (z obawą)

Romans kryminalny, Maryniu! Ludzie co zrobią!

Maryja.

To nie jeszcze tyle powiedzieć daje, że potrzeba ludzi zajęć dnia dzień nierozumiejąc wcale potrzeb natury swojej.

Hilary: Powiedz Karol nie zapomniał o teście. Jak mi się

w spółce zbożowej, utworzyliśmy w mieście spółeczko swoich, piliśmy winko i cały świat nas obchodził i nie obchodził. Moda teraz stowarzyszenia zakładać. My założyliśmy towarzystwo „spokojnych". Polityka, gazety, preferansik, to nasze życie. Ty wiesz, własna córka chciała mnie potem do Lucypera na stanowisko...

Marya.

Wiem ojciec w tym wielki.

Hilary.

Ale usposobienie mam takie, że najmilej mi w swoim kółku. Nie narzucać się nikomu, ustępować zapaleńcom i honoru pilnować. Narazić się to dla mnie ogień piekielny! Mam żal nie zapomniam do niego. I poco to wszystko. Mogłaś bez przewrócenia całej okolicy rozmawiać Zbickiego, z którym tylko rozprawić się i wrócić do tego potłuczonego tapicerucha.

Marya.

Niemogłam, bo nie umiem jednej ręki pracować. Wiesz mam dwoje rąk, bym chciała ma dziadzia. Jestem bohaterką.

Hilary (oprzytomniwszy)

Ja inne mam pojęcie o kobietach.

Marya.

Uznajesz tylko takie, które jeść gotują i dzieci karmią. Lecz ja do takich nie należę.

Hilary.

To bądź przynajmniej taką jak Cybulkowa.

Marya.

Cybulkowa znajduje zadowolenie w romansach społecznych, mogę jej zazdrościć, ale moja namiętność ciągnie na stałym pałacem. Gdybym nie była się podarowała Zbickiemu, byłabym w kwiecie Karola pokochała, grałaby na giełdzie i tak dorabiałaby się majątku, ale dziś, skoro postanowiłam zapewnić majątek Zbickiego choćby kosztem jego sumienia...

Hilary (załamuje ręce, kładzie się upada na ziemię)

Włosy mi na głowie stoją!

Marya.

Propagujesz tylko żywiej twoje idee mój ojcze. Nic nowego pod słońcem. Ubrałam zawsze marzyłeś o majątkach.

Hilary.

Tak, byle bez narażania się.

Marya.

Zmarnowałeś życie, ale ja nie zmarnuję. I zawiele cenię uroki najbliższych, bym bez litości narażała na nie. Jestem kobietą, istotą drobiazgową, niezniosłabym, gdyby Karol rozpaczał i mnie tylko swoją rozpacz przypisywał. Postanowiłam obudzić uśpioną sprężynę, zamieszać Karola w namiętne walki o przekonania, opętać go niepowodzeniami i klęskami ze wszystkich stron i bezpiecznie z zamieszania.

Hilary.

Więc dlatego musiałem zostać fatalnem.

Marya.

Czy Karol jest zdolny, by ojca proces kryminalny wytoczył?

Hilary.

Ale sromota, utrata nieskazitelności szlacheckiej.

Marya.

Zamotałam i skrzywdziłam głęboko, ale Karola a nie ojca ocalić. Ach, plan trudny, ale pewny! To go tak za-

boli, że o wuptkiem zapomni, będzie bronił jak tygrys, tu w domu Anna ~~teraz~~ stowa mu rozmarzy, rozpali, Karol poemie przeczytał, towarzystwa będą upadał, a ja wtedy myśli, uciekną, nie — dam się porwać Ulickiemu. Tam u niego, daleko stąd, na pokoju zamknę się, będę mu testament dyktował, poezji i spirytyzmu uczyć i napełnić strzykawkę do morfiny...

Hilary /przez cras słów M. sypko prechadzał się i targał się za włosy/ Oniemiałem z trwogi./ po chwili/ Nie Marynin, wyznam wuptko Karolowi, ostrzegę przed zdradą.

Maryn /wstaje, gwałtownie/

Ani waż się ojcze robić coś podobnego! Niebie gubisz, to uważaj. Trzeba być głupcem, żeby własnej korzyści nie widzieć. Będziem ojcem miliónerki, miliónerki! Rozumiesz ojcze!

Przez werandę wchodzi po cichu Murzyłło ubrany w bogaty kontusz i karabelę. Włos na rozwiany, very rozogniony.

Murzyłło.

Bóg z wami złachta! Całuję ręce pani Marzyi. /całuje w rękaw M/

Manya (zdziwiona)

Pan Murzyłło. Whontusem, co to takiego?

Murzyłło (pompatycznie)

Dawna czasy wracają! Jak Solon chodził po ateńskim rynku i udając warjata o dobrą sprawę walczył, tak ja jeżdżę od dworu do dworu i wprzód nie odjeżdżam, aż obietnice wszystkim. Błagam, proszę, zaklinam — o tak, muszę wypaleźć przed minionym czasom! Inni nie mogą poświęcić się bo mają rodziny. Co mnie tam po majątku. Tyle mam, że zawsze dość zostawię. Gdyby czas był, on wiele by pomógł. Lecz czy pomógłby. On tam na miejscu w Krakowie, gdzie mu pewno przewrócą... Wieś jedną poświęciłem i dumny jestem z tego! (wyjmuje papier z kieszeni) Tu, tu spisani ratunkowie ligi. Chwalmy nowatorstwa. Życie dawne zabłysnie, wolność szlachecka, cnoty i religia szlachecka!

Manya

W swoim domu przez mojej sympatyji nic nie zyskasz.

Murzyłło (całuje się z Hilarym)

Pani i pan Hilary. Ratem Hilary.

Hilary.

Ale pozór się pan pokazuje. Karol jest właśnie w Konstancinie, pan się wygada, a on nowator.

Murzyłło.

Przyjechałem z ważną sprawą od komisyi nadzorczej spółki zbożowej. Trzeba wiem, że zaprosił Ramowicza na konferencyę. Ho, ho, zabierzemy się z gorącem sadłem do nowatora!

Hilary / napycha fajkę /

Więc pan wie, kiedy walne zgromadzenie.

Murzyłło.

Dziś jutro, obwódk udziałowców brakuje do większości. Ale klachta siedzi się, żydki z uciechy pejsy różaną maścią smarują. Ho, widzę, zdaje mi się, że odmłodniałem! To lubię, krzyk, awantura, oporzycya! Dziś tak ruję się uszczęśliwionym...

Hilary.

Szkoda nieboże szczęście tak narażać się.

Murzyłło.

Żeby najwięcej. Nie każdy człowiek w tem samem szczęście widzi. Mnie do życia trzeba konia, biegu, strzelby i oporzycyi.

śmiat się ze mnie jeden z zapieczonych pastów, szlachcic Laszecki, że przypominam polskiego sejmikowca. Niech się śmieje, byle do ligi przystąpił. Ho, pokażemy panwemiorom, że stoimy krajowi! Wieś poświęciłem publicznej sprawie, o jakie wzięć moje stoło. W gospodarstwie postęp dla chleba, w obyczajach stara wolność i stara gościnność! /ironicznie/ I to mi się podoba, że pan mój ani nie raczył wyjść na spotkanie gościa.

Klawja.

On teraz z Sikorą rachunki sprawdza.

Murytto.

Cóż z tego, że tak pracuję, pracuję na swoją zgubę, bo za stary jestem, abym wierzył, że on potrafi z Polaków kupców zrobić.

Od strony lewej wchodzi Karol, Anna.

Karol /wesoły/

Pan Murytto. Jak miło pod moim dachem powitać mojego przyjaciela przekonani. /podaje obie ręce/

Murytto /obojętnie podaje rękę/

Do zbrodni wstąpiłem, jadę w zaścianek.

Karol.

Nawracać zgubionych. Pompatycznie wygłosiła pani przykrabeli.

Murzyn

Ajabre, ile serca dołożyć dla prepodających idei.

Karol.

Bardo rad jestem, że doczekałem się oporyczy. Ona utrwali nasz postęp i kilka powiatów do spółki zypka.

Murzyn.

Różowo, różowo panie Karolu. Walne zgromadzenie nad brzegami zostawmi się.

Karol.

Wszystko w wzorowym porządku. Prawdo ojcze.

Hilary.

/na str./ Co za ciężki, tak narzekać się. /głośno/ A - tata, gdy zaczęły krążyć wieści, że walne zgromadzenie zostanie zwołane, wtedy brzegi adwokatem do Kwaterkiego do Woli jako prezesa rady nadzorczej.

Marya.

Jak wietrznie przed bojem stoicie. Idźcie dalej, proszę panie

Murzyłło. Nieprzyjaciel przekonań nie pogardzi świadectwem.

Murzyłło.

Przepraszam wypchło mi w gardle, bo całą noc gadałem w Wo-
li u Kropeckiego, a dziś rano strasznie zrobiłem wazkich,
ale długich i to po dwóch starkach.

Karol.

Pytam lipcowy upał.

Anna.

Więc dlatego karatam nakryć pod lipami w altanie.

Murzyłło.

Proszę nie robić ze mną ceremonii. Przedewszystkiem prepro-
szam, iem nieuchylił stopek pani Annie.

Anna.

O, proszę bardzo.

Murzyłło.

Pytam przed dwudziestu laty, gdy ojciec pana Karola żył
jeszcze, a pan chłopcem byłeś, smarkatym dziadkiem, prze-
cież tu tygodnie prezydyowałem. Bawiliśmy się, bywało inne-
rej, lepiej... (ociera oczy)

Karol: I długi ojciec po tych zabawach zostawił.

Murzyłło /bije się w piersi/

Niech mnie tu krew zaleje, jak nie konserwowaliśmy uczciwie tradycyji. A ty panie Karolu wstydź się wymawiać niebożczykowi, że altanę postawił, z czego żyjemy dzisiaj, gdyby ci nie nie postawił.

Karol.

Z pracy, jak żyję obecnie. Inna była praca, gdyśmy wiochi nie miał, inna jest obecnie.

Maryna.

Karol wie, że tylko pracą dochodzi się celów.

Murzyłło.

Dobrze wie i ja tak samo moje cele pojąłem.

Anna.

A ja pronę gościa za inną pod lipy do altany. Pokażę jak cele swoje ludzie pojmują. Zbudować się można. Pan Zbicki od rana wróble strzela i zabiwszy, pruje karolego palcem i we krwi się babrze. Zawiada, że to mu przyjemność sprawia.

Illaryn /nagle przerażona/

Zbicki? Kto mu pozwolił!

Karol (ogląda się na Marysę)

A. Zbicki. Należy do ludzi którzy zadowoleniem obrzydliwość.

Marysa (uspokaja się)

Proszę Karolu, on już się bardzo poprawił.

Karol.

Wielcy królowie go bawią ciepłe wnętrzności wróbla.

Anna. (z odpowiednią grozą)

Ciekawy, zapatrzony swojemi wolami ocyganie w ofiary, a gdy palec krwią umaza, omal nie oblize, tak się szy się do siebie.

Hilary.

Dobra, chodźmy zajść tego ponurca. Byle nie postrzelił, bolącym się strasznie narazić.

Anna.

Nie narażmy się, gdyż po polowaniu napijemy się wódeczki.

Karol.

Więc chodźmy, nie można nic na głupstwa pozwalać.

Powoli wychodzą przez werandę do ogrodu. Hilary idzie z Maryttą, Karol z Anną. Anna urywa róże z bukietu i przypina zalotnie Karolowi.

Mervytto /prowadzi M. pod rękę/

Panie Hilary, mówiłeś że Hlickiego co zrobić. Taki bogaty, niech da co na cele ligi.

Hilary.

Jest za mało narodowo-języcznie się. Trenta on ma swoje cele, chce się strelać ... ojczyźnę ...

Trenty słów nie słychać, gdyż towarzystwo już wyszło. Dochodzi śmiech Elmy a po chwili blisko strzał.

Elmyra /która wmyślnie została, rzuca się na kozetkę/ Jak mnie to nudzi, jak mi to wszystko zélazem śmierdzi! Zazdroszczę Elmie. Wcale, uczciwa, bo tylko intrygi w miłości szuka. Elmyra ja zemść podobnem nie zajmuję się. Jak ocean moja namiętność ... Poco ten wyszany trup zjawił się. Elmę kleskę szerzyć; by siebie napaść złotem. Ale nie, to przejdzie, zapomni się, a skarby zostaną, właściciel pójdzie do ziemi, a ja z jego złotem zostanę ... A! .. będę szczęśliwa ...

Karol wraca szybko do strony prawej.

Karol (troszczy)

Elmyro, tyś chora ...

Marya /zdziwiona zjawieniem się K./

Skąd? /wyrywa się z pozycji półleżącej/

Karol.

Kazałem/ teraz sama, nikogo tu nie było.

Marya.

Byłaś widmem.

Karol.

Jakie?.. /chce objąć M. i powstrzymać/

Marya

Złote widmo! /odpycha K./ Idź, niemęcz mnie spokojnej /po chwili/ Czy na świecie można być szczęśliwym?

Karol.

Można.

Marya.

Ja i tyle tysięcy ludzi jszcze nieszczęśliwszych.

Karol. /niespokojnie/

Maryo – już dłużej drżeć mnie twoje zachowanie. Powiedz mężowi, który się nad siebie kocha, gdzie ukryć się należy, co ci spokój i szczęście odbiera.

Marya: Powiedz mi wpierw gdzie szczęście.

Karol.

W pokonaniu własnych namiętności, czyli w zdobyciu wolności i stanie drugim.

Maryja.

A czy trudno namiętności pokonać?

Karol.

Ci wybrani, którzy potrafią z zaparciem własnego „ja" oddać się na pożytek bliźnich, tem samem bardzo łatwo własne zło dobre zmienią.

Maryja. / zwolna przechadza się wachlując /

Czy ojciec jest szczęśliwy?

Karol.

Wątpię, gdyż serce ziemie nasze.

Maryja.

A Murzyki?

Karol.

Jego opatrzność oduch bronienia martwych, prawych obyczaj. Celem jego tylko dogodzenie wrodzonym instynktom.

Maryja.

A Rzymowie?

Karol.

Ramowisza mnoi rózdza zazwyczów, chwycję z trwogi, czy burmistrzem zostanie. Wypadłmy go na troo, zaśnie zraz spokojny, by przebudziwszy się o nowe ubiegać się zaszyty.

Marya.

Więc bardzo mało szczęśliwych.

Karol.

Tylko ci, co dla spokojności pracują, i drugich kochają.

Marya (staje przed K.)

A ja, jestem szczęśliwa?

Karol.

Dlatego wróciłem się zaraz mój skarbie, bo przeraziły mnie słowa twoje o Zbichim. Trwoż się o szczęście o błogość twoją i moją własną. Zbichi niepokoi mnie.

Marya.

Trwożysz się o błogość własną. Wrak mienia nawiązuje.

Karol.

Człowiekiem jestem i mam je, jeżdżenie zwalczam.

Marya.

A zwalczyłeś zazdrość?

Karol.

Prawie zwalczyłem.

Marya.

Więc poco lękasz się Zbickiego. To niewinna moja zabawa.

Karol.

O ciebie się lękam. Tak, stanowczo twierdzę, o mój aniele, nie mogę się lękać, bo cóż mi blady Zbicki może zrobić? Ciebie nieodkocha.

Marya

Czy bardzo mnie kochasz?

Karol /przyciska M. do piersi/

Czy bardzo! Całym sobą, kocham cię! Ty mi ostatnią, najpiękniejszą na ziemi.

Marya.

Więc nie mogę być szczęśliwym, gdy we mnie jednej tyle nadziei pokładasz. Mogę zdradzić!

Karol. /poważnie/

Słusznie mówisz. Gdy chcę być szczęśliwym, bo to jedno sobie zostawiam, bym nie gniił gnuśnie i pracował dla drugich — muszę więcej pragnąć nad własny spokój, wal-

wyć z rozkoszą.

Marya. /silnie wzruszona/

Walczmy z pożarem, który nazywamy zaślepieniem!

Karol. /orzywiony/

Jasne twoje napomnienia. Z jakąś lubością słuchamy obecnie. Nie umiemy, jak mi nagle jakaś zmora przed oczy przestała, gdy Anna opowiedziała o zabawie Elicheiego. Zabawy takie są zgubne, one mają pociągi dla kobiet. Człowiek, co bawią się bawi śmiercią jak wąż wrogie istoty i panować potrafi.

Marya / siadła przy stole i bawi się bukietem/

Elicki chyba nad nikim panować nie potrafi.

Karol.

Lecz poco ciągnęłaś go do siebie. Czy nie dlatego, że swoją pozorną oziębłością wzbudził w tobie.

Marya.

Wolność i walkę o wolność postawiłeś na czele swego programu. Tobie wolno z Anną mówić, czy jej pytam się o czem mówicie i dlaczego chodzicie z nią na długie przechadzki.

Karol.

Gdybyś się zapytała, odpowiedziałbym ci na wszystko bez wachania.

Maryo.

Ale nie pytam i zostawiam ci zupełną wolność działania.

Karol. (siada obok M.)

Los odmienił się dla mnie. Podejmowane zamiary płyną, mimo tego, że je odtrącam.

Maryo.

Słabym jesteś. Twierdzisz, że tylko ten może posiąść szczęście, kto namiętności się wyrzeknie. Poco pozwalasz się zazdrości?

Karol. (kładzie głowę na ramieniu M.)

Prawda! Niemam prawa zazdrości. Maryniu, ja kocham dlatego, że przyroda ludzka jest kochać, ale niechcę widzieć upiory między mną a tobą. Wolność to moje marzenie, więc nie mogę ci wolności zapierać, bo sprzeciwiłbym się sam sobie. Ale, gdy losy nas połączyły nie wolno dzielić nie powinno, ani linia rozterki duchowej. Pragnijąc dla miłości społecznej, dlatego mamy żyć ze sobą jak ślimaki zaskorupione. Maryniu wyspowiadaj się. Otwórz duszę się

Zbiciem, może ja nie jestem dość kochającym. Przysięgam ci, że na większą miłość zdobyć się nie umiem, gdyż całą cześć być miłością. (całuje M. w ramię)

Marya.

Dlatego teraz zyjemy zdala od siebie, bo cały oddany jesteś sprawom publicznym.

Karol. (wstaje)

Niezrozumiałaś mnie. Ty a sprawa publiczna jesteście równie drogie. Nie mogę jedno stawiać nad drugie. Zostawmy się, zrobisz smutną, a taki stawiać, który dla niebie życia pragnie stać się Zbiciem w końcu. Spełnią jęk moje usta przy tobie, bo przy miłość i wołanie na je stanice. Marynin, tyś mi ciężki kamień na mych ramiona.

Marya (dobrotliwie)

Nie gryź się kochanku. Uważaj być nieostrożnym w swoich manerach. Wrogów masz dokoła, pułapki zastawiają, czyhają na ciebie.

Karol.

Jeżeli pułapki — sami w nie wpadną, mnie nie ma co się

Odbiorą bo to, nam życie nie dodadzą.

Manya

Lecz odbiorą ci dotychczasowe pomyślne dnie i uśmiechnienie dadzą.

Karol.

Mnie nie uśmiechnień nie zdoła. Mnie tylko gorycz chwilowa spowić.

Manya.

Więc nie gryź się marnością, chwilowy jad dochwili, gdy nieprzyjaciele uderzą.

Karol.

Za stu byle mam nie przyjaciół, bym stracił się.

Manya.

Masz nieprzyjaciół potrzebnych.

Karol. /ziewa/

Tych zdepczę!

Manya.

Nie bądź tak pewnym

Karol.

Pewnie nie opuści mnie. Potrz, dziś pewny jestem twej miłości

ci, mimo, że zdajesz się być lodem. Pewność ta polega na twoich wyznaniach, zaklinałaś się w miłości do mnie.

Marya.

Stałym jestem.

Karol (gwałtownie)

Maryo! Ty mnie kochasz, powiedz wszystko, co drży twoje serce.

Marya.

Chcę być wolną, jak ty nim jesteś.

Karol (surowo)

Nie jesteś wolną, bo niedotrzymujesz zobowiązań. Podlegasz jakiejś hydrze.

Marya.

Sama wolałaś jeszcze będzie potrzebnem.

Karol (boleśnie)

Więc powiedz otwarcie się.

Marya

Czyż ci niedaję mojej miłości.

Karol.

Nie. Kochająca dusza należy do mnie. Mówi mu wszystko

co ją boli, nie sprowadza do siebie takich, co brew liżą, nie strasny mieli wrogami! Mają za zadanie łagodzenia, spa- ją mi bury, stroszyła brwi troski. Marya, będę baczył pil- nie twoje kroki, gdy niespodzianie przyniesie mnie i sobie, będzie się trzeba bronić to!

Marya.

Nienależę do płaczących. Za swoje postępki karcisz odpowia- dam, wszak to twoja teorya.

Karol.

Ale mój zapał dla świętych idei nie śmiesz ostabić! Z utra- ty twej miłości, ja wolność utracę.

Marya.

Karolu, namiętności cię ogarnęły, swoje „ja" na podwyższenie stawiasz.

Karol / łagodniej /

Prawda!.. / z ekstazą / Przebacz, jeśli mi się nieraz mi. Mnie to boli, gdy pomyślę że mnie sercem opuścisz.

Marya / całuje Karola /

Tego ci nie powiedziałam.

Karol: Strzeż się tylko, co brew liżą, bo swojej ja- nie

mają!..

Od strony prawej wchodzi Mężicki.

Mężicki.

Przyjemnie zastać gospodarzy w miłemym uścisku.

Marya (podaje rękę)

Pan Mężicki, tak niespodziewany.

Karol. (swobodnie)

Jak się miewasz raczej obywatelu.

Mężicki.

Cóż z tej zaczepki, bodły tobie Karolku niosą złe wróżby.
Widziałeś Murzyka, tego nowonabytego pachołka.

Karol. (Marya odchodzi na chwilę na werandę)

Jest u nas, w ogrodzie.

Mężicki.

Warjat z niego gotowy. Wyobraź sobie, znarowił się na tym punkcie, że nasze towarzystwo zbójowe niżeny stan nazbiecki.

Karol.

Zacofany, pęcherz.

Mężicki: Jeździ w kontuszu po świecie i jedzie ze swoich wsi

poświęcił na propagandę. /do Marji/ Pani zrozumie to ja-
ko kobieta, jak na samolubne zamiary, a my ocenimy
jego głupotę. Zrywne zaślepienie, żeby niewidzieć pogromu
dotychczasowych wyzyskiwaczy robiectwa i nasze procenta.

Karol /niespokojny/

Ale jakie złe wróżby przynosisz.

Męzicki.

Zachwieją się nasi drogi, wielka burza nadciągnie. Wałne zgro-
madzenie na siłową oporządzę, będą żądali zamknięcia rachun-
ków i rozwiązania spółki. Szlachta ma za wiele nawyczek
dawnego wieku.

Karol.

Z piorunną wieścią przychodzisz.

Męzicki.

Hillan zapaleńców na jawie to dobyte.

Karol /boleśnie/

Więc tak szybko ma runąć, co nasi zaszczepiliśmy!

Męzicki /macha ręką/

My chyba na zagładę przeznaczeni.

Karol: Czy kupowaliśmy Arcydzieła, że plenią nasze piętno

nosi na sobie. Maryo, jakiś hura niepowodzeń nadciąga!

Maryo.

To ślepa wiara w szczęście.

Karol.

Ależ nie ślepa wiara. Czy upadną, czy pozostaną towarzysze, będę zawsze na straży cnót obywatelskich. To mnie przepoiło i tego nie stracę.

Męcicki.

Ale oni ci wybaczą ci, których zawiodłeś.

Karol.

Ciebie nie zawiodłem, nie mów mi wybaczać. A chciwcy, którzy dlatego ze mną trzymają, że mają korzyść, będą i tak zmuszeni milczeć, jeśli tylko będą, a tam po stracie nie chodzą się w oczy. To się wewnętrznym rozstawienie.

Męcicki.

Tymczasem przygotuj się. Słyszałem chcą dybać na twą uczciwość.

Maryo (z udanym patosem)

Tam się Karol tymczasowej nie zawiedzie. Wtedy ja wystąpię z obroną!

Męcicki.

Szczęśliwy małżonek z ciebie Karolu.

Karol

Moja żona niewzruszona dobrodziejka mego serca.

Stybaj stoat.

Marya (z przestrachem chwyta się za piersi)

Ach, jakże się przeraziłam, to on Karolu wróble strzela.

Męcicki.

Państwo tu polowanie uprawiacie.

Karol.

Znajomy nasz, pan Zbicki.

Męcicki.

Który to Zbicki

Marya.

Urodzony z Kuralskiej.

Męcicki.

Ach, to ten ostawiony szlachcic. Albrzymię na fortunę i sta-
ry nieuiszczony kawaler.

Karol

Wyjdźmie prawie za granicę.

Mączki.

Tak, bo u nas baletu niema.

Karol.

O, właśnie nadchodzą.

Od strony lewej przez werandę wchodzą Hilary, Zbicki, Murzyłło i Ramowicz.

Murzyłło.

Przyprowadzam pana Ramowicza.

Ramowicz.

Panie Witecki, stawiam się na wezwanie.

Karol /wita się/

Dziękuję, że przybyłeś. Prosiłem pana celem porozumienia się.

Ramowicz.

Słucham z całą uprzejmością. Po walce musimy bardziej ostrożnie się w naszych poglądach.

Karol.

Prawda, sprawy i obowiązki przedewszystkiem

Hanja.

Postawiam zatem kwestyę zupełną wolności. Każdy z panów może to robić, co mu się podoba.

Karol.

Bardzo słusznie. W naszym domu wszyscy szanowni goście powinni być jak u siebie.

Murzyłło.

Więc jéz z panem Hilarym razem

Hilary.

Dobrze, pójdziemy razem, tylko spokojnie i statecznie.

Murzyłło.

Poczém Hilary spokojnie.

Hilary.

Aby nie narazić się

Murzyłło.

Et, mądrzeć jesteś pan stary.

Hilary.

Nie stary, tylko w sile wieku.

Murzyłło.

Więc narazić się możesz. Chodźmy, dewidenia szlachta!

Murzyłło wyprowadza Hilarego pod ramię przez werandę na ogród, Zbicki z Maryą idą w tył sceny. Zbicki ma strzelbę na ramieniu i kilka ptaków w ręce. Marya wyrzuca

ptaki na klęczky i powiedzi wychodzi ze Zbickim pod rękę.

Karol /do Romowicza/

Pan Murzyłło zawsze w dobrym humorze.

Romowicz.

Ma spokojne sumienie.

Karol /wskazuje R. krzesło, obaj siadają/

Wątpię czy spokojne, jego zachowanie zdradza zgorszenie.

Romowicz.

Pan wszystkich, którzy robią inaczej jak pan, nazywasz zapaleńcami.

Karol.

Przynajmniej, ale takich jak pan Murzyłło zawsze nazywam.

Męcicki. /płaci/

Dziś w ten sposób agitować, to niezwykłe.

Karol.

Panowie się nie znacie. /wstaje/ Pan Romowicz adwokat, pan Męcicki właściciel dóbr.

Romowicz /podnosi się i podaje rękę M./

Zapewne właściciel większych posiadłości.

Męcicki. Tak jest.

Zamowicz.

Zapewne wtenczas ligi opozycyjnej.

Mączicki.

Nie, zwolennik handlu zbożowego na wtarną rękę.

Karol.

Pan Mączicki jasno rzecz pojmuje.

Zamowicz.

Chociaż ta jasność zawsze mnie dziwi.

Mączicki macha rękami i zatrzymawszy je w tyle przechadza się.

Karol.

Pan jako adwokat nie powinien ligi przeciwnikiem sprawy wybarwującej się cyframi.

Zamowicz.

W zasadzie nie jestem przeciwny, ale spółka przez pana założona tak moje cele w mieście krzywdzi, iż należę do głównych opozycjonistów.

Karol /podaje papierosy/

Jak rzecz pozamiejska może w mieście krzywdzić.

Zamowicz.

Wpływ granicki w mieście utrzymuje.

Karol.

Wpływ mój w mieście wcale nie od tego zależy.

Ramowicz.

Uniżenie wypowiadać, co pana wywyższa.

Karol.

Więc stanowczo chce mnie pan poniżyć.

Ramowicz.

Broń Boże poniżyć, lecz chcę, byś żył, a nie pan był naczelnikiem miasta.

Karol.

Ja zaś pragnę, bym był obrony.

Ramowicz.

Tak, ale się nie uda.

Karol.

Właśnie chciałbym pana zapytać, co masz przeciw mojej kandydaturze.

Ramowicz.

To przedewszystkiem, że niewidzę nic dla miasta korzystnego, żyjąc gdy ludzie rządzić się potrafią niemającym czasu.

Karol: Któż panu powiedział, że ja czasu niemam?

Romowier.

Świadomości pańskich zatrudnień.

Karol.

Czy z obłyskerasowych kurmiatrów robił co który.

Romowier.

Pracowali hasdro.

Karol.

Mój panie, należę do ludzi, którzy twierdzą stanowczo, że kto pracuje, nie zostawia miasta w obłędach i nieporządku.

Romowier.

Sprawy tak zawikłane, że rozwikłać nie mogli poprzednicy.

Karol.

Naturalnie, że nie mogli, bo sami wikłali.

Tłoczący widząc przechodzących przed werandę Murytę i Hilarego pytano się do nich i wyśmiali.

Romowier.

Obrazia pan wszystkich dziś szanowanych bytych nazelników. Żyją niektórzy i niezastugują na podobne uwagi.

Karol.

Gdyby nie żyli nie byliby tak surowo.

Damowicz.

Zrobię obowiązkową uwagę, iż podobna taktyka nie wydaje się godną rozumnego szlachetnych idei.

Karol.

Moje idee wymagają właśnie tego, i biorą wszystkich wypychiwany.

Damowicz.

To przysłowie, że ci bitowani zamienią się z bitowanymi. Dotychczasowi panowie nazywani wypychaczami pójdą na dziady, a obecni reformatorzy panowie wypychiwać.

Karol.

Obecni reformatorzy byliby dawno przetrzebili wypychiwanych gdyby ci nie chwytali się wykrętów i nie bronili jak lisy. Widzę, że pan podłączył taktykę względem mnie przyjął, prosiłem pana byśmy się porozumieli. Ja dlatego kandyduję na burmistrza, by tyle razy znaleść, ileby pan popędzał tylko co kradnę, wypychał majątek miasta, i w tym wypadku jestem wypychiwaczem – to wszystko, co dobro miasta przyniesie mnie, podnieść siły fizyczne i moralne.

Ramowir.

Bardzo to piękne, ale pod słowami kryje się co innego. Pan chcesz nie jasne mi, tajemne i szkodliwe obłyskrasowym zwyczajom cele przeprowadzić.

Karol.

Jasne wytłumaczenie zawsze ma u mnie względy. Tak jest, chcę o wolność osobistą, i niepodległość jednostek walczyć.

Ramowir.

Inaczej pan to przyda.

Karol.

To jest mojem zadaniem i ~~zadawalem~~ stójcem życia.

Ramowir

Złą pan drogę do szczęścia wynalazł.

Karol.

Dlaczego?

Ramowir.

Kilka lat nadaprzewanego powodzenia popsuło pana. Zamożbałeś to, czego zazdrościła natura ludzka. Żona pańska już w oporyjach, to znak, że oni mają pan może o swojich twach na swojej drodze.

Karol.

Nierozumiem pana. Co pan o żonie powiedziałeś.

Romowicz.

Mówmy otwarcie. Nauczyłeś pan kobietę równoważyć, pozwoliłeś wedrzeć się poza ognisko domowe, obeznać ołtyglissas nami rozdziały, obecnie otwarcie walczą i najbliższe pana opanują.

Karol.

Tak jest. Kobietom odpowiednio równych praw pragnąłbym udzielić.

Romowicz.

Więc będąc konsekwentnym, nie możesz uważać za złe, że żona mając słuszne, choć odmienne niż pańskie zapatrywania agituje w mieście na moją korzyść.

Karol (mispokojny)

Nie panie, moja żona, jeżeli agituje, to za swoim mężem. Jesteś panie mecenasie źle poinformowany.

Romowicz.

Gdy przed tygodniem za granicę jeździłeś, w stowarzyszeniu rękodzielników miała piorunującą mowę przeciwko pan-

Karol /odsuwa pięścią wstół/

Nie wierzę!

Romowicz.

Zapytaj się pan pani Marysi.

Karol /uspokaja się/

Naturalnie, muszą mówić, kiedy pan wiesz okłamie.

Romowicz.

I nie mogą pan jej tego bronić.

Karol. /irytowany/

Moja żona przeciw mnie. /wstaje/ Nie rozumiem tego zupełnie. Coś szarpie moje serce... Miałoby to być przeczucie, że mnie podpuchacze, którzy budują. /Do Romowicza/ Nie panie mecenasie, ja będę burmistrzem.

Romowicz /siedzi/

Ja będę! Wszyscy przeciwko mnie. Pan obrałeś sobie ambicye za wysokie, chcesz wszystko zagarnąć.

Karol. /z zita/

Tu czuję w piersi ogień, który zapala mnie do czynu. Chcę przeciwstawić wszystko, co sprawiedliwości łamaga się, chcę z bydląt ludzi porobić. Nie mogę żyć bez tego, ogień mnie

przez dalej i dalej! A pan dla niego chcesz kandydować. Pan masz niezwykłe tajne zamiary, gdyż kto w ciągu trzydziestu latach życia nic nie zrobił dla ludzi, ten zazdrą jakąś powodowany, chce mężnie nich wstąpić. Co pan chce miastu zrobić.

Ramowicz.

Przedewszystkiem jednostkom chcę oddać niego pragnę. Od czasu gdym kancelaryę otworzył, pracowałem wytrwale, by dojść do tej chlubnej godności. I jestem jednostkę u celu, chociaż pan mi tak przeszkadza. To było i jest zadaniem mojem. Nieznajdę niczego nikczemnego, trzymam się prawdy, że nigdy nagły przewrót nie wytrzyma przeszkód ani wpojonych nawyczek.

Karol.

Więc co pan chcesz robić. Czy zaprzeczy pan, że miasto było okradane.

Ramowicz.

Na razie o tyle jestem spokojniejszy, że chcę i zostanę nawelnikiem.

Karol: Więc panu o to tylko chodzi.

Ramowicz.

Obecnie o tem myślę.

Karol.

Więc dowiem pan na zaaresztowanie.

Ramowicz.

Jestem zdrowszy od innych, gdyż sam staram się powoli i wytrwale o własne zdrowie i nie opieram się na obcych wierności bardzo względnej.

Karol /jakby udatniając głębiej/

Rozumiem pana wreszcie. Sam dałeś świadectwo na siebie.

Ramowicz /samopokojony/

Czy pan zamierza to na forum przeciwko mnie użyć. Jesteśmy na poufnej rozmowie.

Karol.

Chciałem z panem mówić i przyszedłem do ciebie. Inaczej zaaresztować nie mogłem, tylko, iż między nami to zatrzymamy.

Ramowicz /uśmiecha się/

Tak to dobrze. Nawet lepiej, gdyż w razie czego mogę jako pan przedstawić ofiarę mnie chodzi.

Karol: Wiem, ale do jej godności.

Ramowicz (milknie, prostuje)

Nie mając stosunków, własnem staraniem doszedłem powagi w mieście. Pragnieniem, które mnie trawi jest zaszczycenie i zaszczycenie. Namiętność tak mnie oplotła jak kluszcz, jak pasożyt, chorują z trwogi, że w czterdziestym piątym roku życia zabraknie radnym zostałem. Urząd burmistrza doda mi blasku, ale mi spokój i rozkoszne życie. Z prawdziwą zawiścią patrzę na pana ozdobionego tylu zaszczytami. (po chwili) Pan mimo chęci nie wydoła, wybierający różnych na różne godności. Panie Witecki, ustąp pan dobrowolnie. Moja porażka to śmierć moja...

Karol (zdziwiony, mówi prawdę)

Spodziewałem się u pana namiętności pomnożenia. Zaszczytów godności odstąpiłbym panu tę mierzącą i przykrą godność. Po mnie celem nie jest zaszczyt. Pragnę u siebie i u drugich zwalczać zazdrość. (Zawija coraz prędzej mówić) Dlatego, wielu prawych mamy i winniśmy się starać, by ich z ubezpieczenia wydobyć. O panu wspomniałem, nie tając się. Lecz po staraniach, które ubliżają panu nie mogę ustąpić. Ja będę burmistrzem.

Ramowicz (podśmiewczy)

Raz pan zauważyć, że mam silną partyę.

Karol.

Ja silniejszą, bo jasny program.

Ramowicz.

Pan młody i niedoświadczony nie wie, że ci zostają wyborcami, którzy są sprytniejsi.

Karol.

Nie panie, to już w naszem mieście minęło.

Ramowicz.

Przekona się pan, gdy zostanę zwycięzcą.

Karol.

Pana pobije nieka zazdrą.

Ramowicz.

Pana przekona, że zazdrą tylko dla siły do zwycięztwa.

Karol.

Za dobre wybory nie idzą o co chodzi. O majątku mieata pisaliśmy i mówili.

Ramowicz.

Ale mnie poprzą patentaci, którzy ten majątek dzierżą!

Karol.

Jak bohater będę walczył, modlam wam na partwę publi:
znego dobra!

Ramowicz.

Ślepy pan i niezrozumiejący życia.

Karol.

A pamiętaki sam, jak ci co przedtem burmistrzami byli.

Ramowicz (gwałtowniej)

Więc stadniej!

Karol.

Nie zapieram.

Ramowicz.

Pana własna żona przekona je łasisz się i ukrywasz za
molubne zamiary, pan wszyscy to powiedzą, ale nie
w oczy.

Karol.

Panie Ramowicz, po rozmowie obecnej podwoję zabiegi.

Ramowicz.

Pan zamilkniesz, bo zdusza się, co doświadczyli, cnem ludzi
zyskiwać!

Karol.

Idź pan doświadczeniem walczyć!

Romowicz / chwyta za kapelusz /

Spotkamy się na arenie! Pan zgnieciony, a ja burmistrzem! / do siebie z lubością / Burmistrzem! Burmistrzem! / do K /

Żegnam...

Karol / z uśmiechem /

A na obiedzie nie zostanicie burmistrzu.

Romowicz.

Będę dla wyborców kiełbasę dawał. / do siebie wybiegając przez werandę / Burmistrzem... Niech żyje burmistrz Romowicz! Ach, będę upojony!.. / znika w ogrodzie /

Karol / stoi na miejscu /

Mężczyźni, bardzo się zbudował? / ogląda się / Niema nikogo... Czy to zapowiedź, że opuszczą mnie? Romowicz mówił o chwale. Ona mnie nie kocha. Nie kocha... o to boleśne. Cha! wyrzec się namiętności to bardzo, bardzo ciężko! Tu boleć zaczyna w piersi... pierwszy raz w życiu. Czy to przepowiednia, że runę. Wszak runąć nieśmiertelnym, niepowinnienem!

Przez werandę wbiega Anna. Ma rozwarty parasolka.

Anna. (zaniepokojona)

Karolu co się stało! Powinien wrócić z dziećmi, nawet nie próbuj się z nami!

Karol.

Wszyscy się burzycie, bo za wiele myślicie o sobie.

Anna.

Więc chcesz byśmy zapomnieli o sobie?

Karol.

Chcę byśmy widzieli, że dla siebie żyjemy, znamy nieszczęście sprowadzić.

Anna,

To znamy niemiłe serca oni nerwów.

Karol.

Nie, to sprowadza równowagę ducha.

Anna.

Świętej nie jesteśmy.

Karol

Ale powinniśmy być ludźmi i różnić się od zwierząt.

Anna: Dość, bunt przeciw naturze grzechem!

Karol.

By dowiedź się my rozumne zwierzęta.

Anna.

A gdy oprzeć się pokusom nie można.

Karol.

To walczyć.

Anna.

Jak Tydeusz do walki bunyz a mieć najsz walki Ramo, wiara, Murzyny i wojna Hiszpanego.

Karol.

Za słaba.

Anna.

Kiedy innej miłości, bo ta im szczęście przynosi.

Karol.

Bardzo rzadko tylko odnajdzie.

Anna.

Jestem szczęśliwa, mimo tego, że tak samolubnie żyję.

Karol. /cicho ziewa/

Żałuje się tylko.

Anna: Chyba wszystko na świecie jest przejściem i świa=

domości mówa. Wytłumacz mi to Karolu. Wiem że żyję, czuję i myślę i gdy chcę, mogę myśl z jednej strony w drugą przenieść, lecz pewne wypadki, pewne osoby ciągną ku sobie, mgła jak świtezianka. Myśl mówi chce chcieć przestać — nie jest w stanie, oprzeć się nie może, zaczyna przypatrywać się, fantazjować w tych marzeniach, wreszcie jak orkan straszliwy wpada, traci równowagę, wiruje szalona! /śmieje się głośno/ Cha, cha, cha... mów mi co chcesz. To pragnienia, to namiętności, to życie. Tam rozkosz, zapomnienie codziennych kłopotów cha... cha... cha... /śmiech Anny dziwny, nienaturalny/

Karol. /spokojnie/

Ale tam zaślepienie, w końcu obłęd, zgon, śmierć, męczeństwo. Przypadków wyliczę ci tysiące. A cóż tobie się marzy?

Anna. /żałośnie/

Marzy mi się myśl grzeszna.

Karol.

Której opanować niepotrafisz i pójdziesz w zaślepienie.

Anna: Co mi tam, pragnę żyć, pragnę kochać. Lecz

nie czyni mi żadnych uwag o żołnierzu. On nie dla mnie, za purpurowy, za zimny. Ja wulkan wulkany tylko kochać mogę.

Karol.

Zbytnie gorąco mnie obie obaty rozgrzewić.

Anna.

Ale moja miłość wulkanu daje słodkiego tyjącego. Karolu!.. /chce mnie się na szyję K. on prawiony zrywa się z siedzenia i nagłym ruchem ustępuje/

Karol /surowo/

Anno! Dlaczego teraz w biały dzień mówisz, o czem mało myślałaś. Dlaczego właśnie w tej chwili, gdy ten warjat z kontuszu grozi mi walką, gdy przebranie się ze potwora mi zdarzam się! Dlaczego mi to mówisz. Sobie o mnie myśl nie wolno, ja o tobie myślę i niebędę. Zawiele mi obcych wyrzuca z mostu, który nad przepaścią ludzkich stosunków budują. Trzeba z niepokoju, by mi moich ideałów, myśli tchnień nie odebrano, serce mam zakrwawione wyrzutem

Anna: Nie mów tak dlaczego! Zresztą nie docieknam, co dlaczego

z tobą porównało. To zniknie w mojem pojęciu wobec miłości dla ciebie! /chwyta K. za rękę/ Ty będziesz mi wrażonny!

Karol.

Więc nego żądasz od wrażonnego.

Anna /namiętnie/

Miłości, rozumiesz co to znaczy.

Karol /zimny/

Miłość tego odraja u mnie w poniżeniu.

Anna.

Nie pytam oto. Nazwij to natem, nazwij zbrodnią nęża burzyć przeciw żonie.

Karol.

Mnie nikt nie podejdzie. Kocham Manyę i na tem poprzestaję w wielkiem uczuciu dla jéj drugiej.

Anna.

Jako mężczyzna, bez nawarianiu się możesz być dwiem wrażonnymi.

Karol.

Jako mężczyzna chcę być wolnym i nie krępować się namiętnością. To radzę i bo życiem.

Anna.

Serca nie masz, gdy niewidzisz moje rozigrane nerwy.

Karol.

Daj wolności Polakowi Żabskiemu, będę cię czcił jako wolną.

Anna.

Precz z rozumowaniem, chcę kochać i kochać'...

Karol.

W nerwach kobiecych rozum powinien być panem.

Anna.

Więc niepozwalasz robić co chcę. Wczoraj mamy pozwalasz.

Karol.

Nie w kazdym niczego nie mylę, lecz nawołuję do poprawy.

Anna.

Bóg odebrał męża, którego kochałam, więc dlatego mam być nieszczęśliwą.

Karol.

Kochaj tylko niekrępowanych.

Anna.

Czem ty jesteś krępowany.

Karol: Przysięgą miłości i wierności. Kochać kobietę praw-

dziwie jednaz tylko mozna.

Anna.

A gdy ta jednaz niebocha.

Karol (z niecierpliwiony)

Ale ja ja kocham i to mi orzejście daje. Tobie wolno jednego kochać Łabskiego.

Anna.

Starego?

Karol.

Dlatego, że mozen go uczynić wolnym do rozpaczy.

Anna.

Kiedy nic dobrego dla siebie nie zyskam.

Karol.

To sekret mężtwa i wolności, nic niechcieć dla siebie.

Anna.

To nie po ludzku, to twarde i zakonne! Starzy się lekceważy, zemścij się na niej...

Karol.

Nigdy. Na nie walnikach pasterki się, panowie. (po chwili) Nawet ja umieram się. Owszem na solnie, że wpisano nie wpisywałem.

na Maryę /uderza ręką po czole/ Albo wiem, czego chcieć, albo wiem czy umiem kochać, czy godny jestem miłości. Jak w kotle wrzą kłęby, tak szumi mi w myśli! Idzie podziałem mówią, że ludzie myśleć zaczynają. Dzikie zwierzęta lub samoluby dobrota, ty także między nimi!

Anna.

Chcę napoić się bom głodna.

Karol.

Masz obowiązek ratowania Helenę. Żyć ciebie tyle lat pędził po świecie jak wicher, swoich się wyrzekł.

Anna.

Poświęcenie wydaje mi się niekiedy i smutne.

Karol.

Uważ, że mnie czekają teraz zapasy o życie lub śmierć moich idei, opuszczam się podniosła, jam dziś więcej niż kiedykolwiek dla ostatnich przyjemności martwy.

Anna /ciężko wzdycha/

Karolu! Dlaczego wdowy mają być niewrażliwe, dlaczego ludziom nie wolno kochać, kogo się podoba.

Karol: Kochać wolno, nie wolno żądać wzajemności.

Anna (chwyta K. za rękę, pada na kolana)

Ty będziesz mi wrażenny, przy tobie zostanę, będę ci wiernie służyła!

Karol (niepokojny, usiłuje podnieść A. ona opiera się) Ale innego upatrzyła... Anno, wstań, to nie wolno klęknąć, wstań Anno...

Od strony prawej wchodzi Adam Żabski.

Żabski (staje pomiędzy, zasłania ręce)

Karolu!

Anna (zrywa się)

Ach! Wkrótce dzień!

Żabski.

I ciemne widmo prześladowcy.

Karol.

Masz ją, Adamie. Niechaj nikogo, bo wszystko na świecie straci dotychczas. Idę przygotować się do cięższej pracy. Anna to wierna kochanka!

Odchodzi na prawo.

Żabski.

Pani prosiła Karolu, czy przysięgała?

Anna.

Przysięgałam mu miłość.

Karol (z przejmującym śmiechem)

Miłość?.. Pani wolno czynić, co się jej podoba.

Anna.

A wolno.

Żabski.

Więc i mnie wolno kochać panią.

Anna.

A wolno.

Żabski.

I pani wolno być mnie wzajemną.

Anna

A wolno.

Żabski.

Lecz pani nie wolno uwzględnić mego uczucia.

Anna.

Bo wolno mi nieuwzględnić.

Żabski.

Pani wolno pastwić się.

Anna.

A wolno.

Żabski.

I wolno mnie odbierać ochotę do życia, do nerzęcia.

Anna.

Wolno.

Żabski.

Wolno niemieć serca.

Anna.

Ma pana wolno

Żabski.

Zdrowić

Anna.

A wolno

Żabski.

Rozmawiałem miłowano z matką pani.

Anna.

Ja wiem, że mama pana uprzyja.

Żabski.

Spotkiwała o spiskach pani z panią Marysz.

Anna.

O jakim spisku.

Żabki.

Grecin Karolowi.

Anna.

Mnie wolno robić, co mi się podoba, jestem wolną. Zresztą mamo o niczem nie wie i plotek narobita.

Żabki.

Karol powiedział by, że wolnym osobom wolno tylko prostą drogą chodzić.

Anna

Miłe pan, to pan wolno.

Żabki.

Cy winien jestem, że dawno kocham panią i uczuciem bez miłości pani. Dziś mam stanowisko, mam prawo zostać ogniska domowe. Gdy na ziemi tyle wolno, dlatego nie wchodzę ufności pani do mnie, dlatego w końcu nie pokochan mnie.

Anna.

Boję się pana, być niebyt zbyt arogancu i zazdrosnym mat=

żonkiem. Tacy należycy ludzie i stali w miłości są niewygodnymi małżonkami. Jeżeli pan chce romansu, mogę raz w życiu zrucić panu różę, gdy będziesz mi śpiewał serenadę.

Żabski.

Chcę, byś pani była moją żoną.

Anna.

Mnie wolno nie być.

Żabski (ponury)

Nie igraj pani z rozżalonem sercem. Nie tańcuj w otchłani, gdzie nadziei nema. W tobie potężnem żyje i jego powodzenie, chcę wiele zrobić i żyć przyjacielu, bez ciebie nie mogę i nie będę! Chyba razem złączmy się pod ziemią, gdy tu mnie nie zechcesz.

Anna.

Cha, cha, cha - - - wolę igrać jak motyl, wolę w tobie znaleźć w różanym świecie przygód niewinnych. Dość mam iść w orszaku takt dzikiego wtórnika jak pan. Cha, cha, cha, puhar wesołości mi sprzyja i tego chcę!...

~~Anna~~ Żabski: Moja namiętność jest wielka i tak pewna

nej stłumić nie mogę. Ona ma swoje ramię, ale ma ko-
niec jasny, wzniosły, jeżeli zaspokojoną zostanie. Dziwię
się pani, że nie czujesz potężnej miłości, że nie widzisz, iż
przy boku nadzieję kochającego, dającą mu równą miłość
szczęśliwą być może. Ten u którego stóp klęczałaś, czy
nie świeci przykładem? Mnie to słońce świeci, a staram
się zbliżyć do niego, ale ty mi jak drugie słońce drogę
wciąż mi wciąż zabiegasz! On stoi niewzruszony, bez
zmarszku niepokoju mimo, iż tyle wejrzeń czyni na
niego i ludzie naraz jakby przy mnie się. Anno, czy wiesz
jestem, że bez ciebie jestem prochem!... Ty pani zamiast
płoche a śliskie motyla przybrać kształty, raczej czaszkę
siebie bliźniemu oddaj, raczej miej serce nadem-
ną, patrz na Karola, a mnie kochaj...

Anna /obojętnie/

Wolno mi niesłuchać, nie pozwalam mówić!

Żabski:

My ludzie klątwę na sobie mamy. Oddajemy się sobie i je-
cierpię, że sobie oddałem się. Ale twój egoizm uważam
za straszniejszy. Chociaż uważasz mnie za nieprzyjaciela,

ja ostrzegam. Karol jest zawiedli, by wam nie sprostał. Tyś fałszywie mu przysięgała, by Marii pomagał, ostrzegam, byś nie płakała.

Anna

Cha, cha, cha ... (jak wesołe śmieje się zalotnie, wesoło) moralista! Pogrzmy pan sobie. Wertam w intrygę, gdyż na to żyję na świecie, przed nudami muszę się bronić, by zbójcą nie zostać. Lecz czuwam nad sobą, po ukończeniu nikomu nawet matce nieznanego dzieła niekam natychmiast, mam list zelazny przed skonfiskowaniem zapaleńców — jestem kobietą.

Żabski (zmięszany)

Ale to nie broni przed moją miłością. Pani Anno, jeżeli pragnie czegoś poważnego, nieodmawiaj. Wreszcie ostrzegę Karola, zniszczę papiery, zniszczę! (chce całować A. w rękę, ona daje mu klapsa) Zniszczę niebieskie urodzinki.

Anna.

Groźba ta wcale mi nieszkodzi nie wróży.

Żabski: Ale ci mówi o poświęceniu się, o ratowaniu

nieszczęśliwego!

Anna.

Cha, cha, cha, patrz pan jakie liche towarzystwo! Unas bawić się można, walić, tańczyć!

Wchodzą przez werandę Marya, Zbicki, Murzyłło, Hilary Mścicki

Marya.

Anna z panem Żabskim!

Anna (Żabski kłania się)

Mówiliśmy o pogodzie.

Marya (podaje Żabskiemu rękę)

Cóż to, pogoda tak pana zasępiła, oczy masz jak Żyd Dia-volo.

Żabski. (spuszcza oczy)

Naprawdę nigdy pogody niema.

Anna (do Marji)

Ale dla nas jest. Maryniu jabłko ze Zbickim i z wróblami?

Marya. (do Zbickiego głośno)

Panie Zbicki dość tej polityki, chodź pan do nas.

Zbicki, Murzyłło, Hilary, Mścicki zostali po wejściu w tyle

i rozprawiają żywo gestykulując.

Zbicki (nastawia lk. przykłada do niej)

Pan Murzyłło, umie mówić jak sam Cicero.

Marya (do Zbicki)

Niewdawaj się pan z tymi kameleonami, co mienią się tak, że codziennie inne barwy mają.

Zbicki

Muszę dać coś przeciwko na całe ligi.

Marya (siada z Anną na lewo, Zabicki odchodzi na przód na prawo i patrzy w Annę) Już pani zaraża się życiem publicznem. Zaręczam, że nic wesołego. Jedziemy dziś wieczorem do Skał?

Anna.

Dobrze jedźcie, ja tu będę z Karolem.

Zbicki.

Może pani Karol oderwie się trochę od pracy.

Marya.

Kiedy człowiek czem innem się bawi, to człowiek bez zabawy musi umrzeć.

Zbicki: Wie pani, raz w Paryżu sprowadziliśmy sobie mło-

do szympanicy do zabawy. Pyrnie nerwy.

Anna.

Naród szympanse?

Zbicki.

To właściwie listy szympanówne, jeżeli nie zamężne za szympansami.

Marya /gasnąco/

Pan zawsze z obrzydliwościami popisuje się. Pojedziemy do skał, będziemy smosić się i czytać Byrona.

Zbicki.

No to dobrze, ale wezmiemy ze sobą strzelbę.

Marya /stanowczo/

Zakazałam strzelać panu i dotrzymam słowa.

Zbicki /jedwabiście/

Życzenie pani dla mnie rozkazem.

Marya.

Z rozbrykanego zalecika pan się przerobi w jagniątko.

Zbicki.

Dobrze, w jagniątko, byleby przy tobie pani. /całuje M. w rękę/

Marya: Udawaj pawianego i tak Karol jej zazdrości.

Od strony lewej wbiega Trąbiński.

Trąbiński

Jest pan Witecki!

Wszyscy.

Co, co się stało!

Żabski /energicznie/

Jest Karol.

Trąbiński /rozgląda się/

Jakie miłe zebranie. Wypiję w garecie, jak bawić się przyjemnie.

Murzyło.

Prezesan nas kochany redaktorze. Jak bomba wleciałeś.

Trąbiński /jakby nieswój/

Dobrze, że pan tu jesteś. Przyjechałem do pana Karola, by mu powiedzieć, że kwita z przyjaźni!

Żabski /ciągle na uboczu, gdy reszta towarzystwa już się zmieszała/ Jak to kwita, w przyjaźni wcale nie żyliście.

Trąbiński. /zawsze zmiksowany/

Mieliśmy, ale pismo moje popierało pana Witeckiego.

Murzyłło /nagle/

Redaktorze Trąbiński! Czy mam wierzyć! Przystępujesz do opozycyi!

Trąbiński.

Przystępuję.

Murzyłło /otwiera ramiona i ściska Trąb./

Daj pyska wiarusie! Niech błogosławieństwo spadnie na ciebie i twoje dzieci, niech się gloria mundi świeci. To redaktor państwo, jak się patrzy. Stoi świata jak morze, a pisze kto rzadziej, tyle pisać! /całuje się z Trąbińskim/

Trąbiński.

Tak jest. Piszę i będę pisał, ale mam dzieci i zarobić potrzebuję. Pytanie, dlaczego mam stać przy jednym, kiedy piszą i dla tych i dla tych, można użyć z pożytkiem! Porządny redaktor trzyma się barta: kto mu sitę temu pisz! I słusznie. Mnie, redaktorowi bezstronnej prasy, nie wypada uporem się rozdrić.

Murzyłło. /ucina się po karabeli/

Tak jest, niech mi brzeszczot pęknie na dwoje, jeżeli

redaktor nama racyi!

Hilary.

Ale czy się pan nie naraża rzyteznie.

Trąbiński.

Narażam się! Wypiję panu artykuł na dnie szpalty o narażaniu się. Ja się narażam. A co mi tam do tego. Kto utrzymuje dziennik temu zmarnuje wszystkiem ile wlezie jak Boga szczerze kocham.

Żabski.

To liga opozycyjna więcej zapłaciła.

Trąbiński.

Liga i opozycya w mieście z panem Ramowiczem, jak Boga szczerze kocham.

Murzyło /nagle/

Victoria! Stan szlachecki uratowany! Daj pyska redaktorze./całuje się z Trąbińskim/

Żabski.

Ale, panie jenerale nierozmówił się z Witeckim.

Marya.

I niepotrzebnie rozmawiał się, mąż sam się domyśli.

Anna śmieje się głośno i wesoło.

Hilary.

Narowiajoz się Maryniu. Córeczko, ty nabroiss.

Anna.

Cha, cha, cha, piramidalne nerwy, same motylki za kawiarnią gonioce! (biegnie do Trąbińskiego i Mirytty i ściska im ręce)

Zasłona spada.

Akt trzeci.

Scena przedstawia ten sam pokój na książki jak w akcie pierwszym. Lampa na stole.
Maryja i Anna. Anna przegląda obraz rozciągnięty na sztalugach, Maryja przechadza się.

Anna.

Jeszcze nigdy podobnie podobającego się portretu nie malowałam.

Maryja.

Wolę twój rodzajowy: Nemrod na prepiórkach.

Anna (wskazuje na obraz)

Ten więcej dla siebie malowałam i z przyjemnością wpatruję się w piękne rysy.

Maryja: (przygląda się obrazowi) Ale Karol niema tak

pięknego nosa.

Anna.

Mylisz się, jego nos warty całuska.

Marya.

Nigdy go w nos nie całowałam, nie znam wartości jego nosa.

Anna.

Sądzę z obserwacyi przy malowaniu. Przedewszystkiem mniej czerwony i rozdmuchany jak u innych panów.

Marya.

To nos nierozdmuchany piękny?

Anna.

Naturalnie. Wielkie mamy tabaczne i kataralne nie są podobnem malarzy.

Marya.

Nie znam się na nosach ze stanowiska artysty, ale o nosie Karola nie mam tak dobrego pojęcia.

Anna.

Spróbuj go kiedy w nosek uszczypnąć, pojmiesz jak to przyjemnie.

Marya: Ty zapewnie praktycznie dostałaś tej świadomości?

Anna.

Jakto praktycznie.

Marya.

Malując portret Karola zapewne w nos go nazywałaś.

Anna.

Czy to podejrzenie

Marya.

Żadne podejrzenie. Prosiłam ciebie o zbadanie Karola, mogłaś w zapale nadużyć.

Anna.

Albo chodzi ci o to, czy nadużyję. Sądzę, że wypełnię twoją radę, gdy do dzieła zabiorę się z całą troskliwością

Marya.

Dziękuję ci za zrozumienie moich tendencyj, lecz obawiam się, że o kompliciach dla siebie nie zapomniałaś.

Anna

/do siebie/ Ona domyśla się/głośno/ O kompliciach nie potrzebuję pamiętać, bo wszędzie same wyrazy się.

Marya.

Same nigdy nie przyjdą. Kto chce czemu zadowolnić się, musi

poszukać i pracować na to.

Anna.

Jeruzalemkowo, gdy cię obraz namalować muszę pawędzi przenieść. Lecz wyjątkiem są sprawy miłości. O nie starać się nie potrzeba. Miłość jak choroba zaraźliwa wkrada się do serca i rozwija się niepohamowanie.

Marya /z przekorem/

Tomato się kamujęn, nuaziam.

Anna.

Do niéluj uszczuplać się w tem, co mi jedynie rozkosz sprawia.

Marya.

Więc jak widzę wielką przyjemność sprawia ci zadanie przeze mnie powierzone.

Anna.

Wiesz Maryniu, czy mamy bawić się w ciociubabkę.

Marya.

Dowdo słuszne. Z Karolem bawiłam się z zawiązanymi oczyma, źle liczyłam i przerachowałam.

Anna: Dziwię się, że tak mówisz. W Karolu odkryłam

skarby.

Maryna /obojętnie, siada na kanapie/
Mów Anetko co myślisz, przedemną nie potrzebujesz tajić.

Anna.

Zatamowałam go gorliwie, ~~ff~~ ale bez myśli. Nawet przed miesiącem w Kornelinie, gdy Łabski zaczął mnie kłaczącą przed Karolem niby prowadzałam i tylko dlatego tyle siły miałam, by napięty mięśnia, co mi fotel w oczy rucał. Ale dziś serce mi płonie! Żono Karola, obleję mi twarz kwasem siarkowym. Kocham tego Karola całą potęgą młodego ciała...

Maryna /zagryza usta/

Anno.

Anna /zdziwiona/

Co takiego.

Maryna /nagle w złości wstaje/
Wyzywałaś położenie!

Anna /wesoło/
Wyglądasz jak kaletnica, która w złości najlepiej tańczy.
Maryna: /nerwowo/ Uwodzicielko, niegodna mej przyjaźni!

Anna (nagle powaźniejąc)

Szkoda, żeś przedtem w złości nie wpadła, byłabym się rychlej oceniła

Marya.

Czy mówisz, że Karol mnie wyłącznie miłość przysięgał!

Anna (ironicznie)

Poprawoły odmiań się z ciebie.

Marya (w złości)

Podłeś taś mnie, oszukałaś, wkradłaś się między nas!

Anna.

Dlaczego ty kradzież i oszukaństwo moim zarzut na mnie?

Marya.

Twoje słowa jadem mnie wypełniają.

Anna.

Nicudawaj, gnuśna komedyą, ale licho. Ty śmiesz mieć pretensye do Karola, przed chwilą postawiać się nad nim i narzekać z jego niełaskę i mówić!

Marya.

Co robię, sama będę odpowiadała. Ale, kto przed mnie zajmie się gorzej mojim mężem, postaram się uberwać.

nić.

Anna.

Powiedziałaś, że nie lubisz ciociubabki, a ciągle oczy masz zawiązane. Zawiedziesz się, gdy będziesz tak wyniosła. Jesteś rozdrażnioną, że Zbicki wdał się w politykę, że plany twoje chwieją się, a na mnie nie śmiesz się, mimo, że dzielnie dopomagam.

Marya.

Dzielnie dla siebie pracujesz.

Anna.

Prawda. Kto dla kogo innego pracuje. Nie podejmowałabym włóczyć się w zamiarach, gdybym korzyści nie spodziewała się.

Marya.

Nikt tu nieśmie korzystać. Ja, wyłącznie ja, żona Karola Witeckiego.

Anna.

Istotnie, chcesz być nieszczęśliwą, gdy chciwość cię zgubi.

Marya.

Tak, chciwość dla nieszczęścia upragnione. Chcę majątku

Zbiciego, lecz chcę jako niewinna wrócić do męża, poj-
muje sz.

Anna.

Jak Klaudyny wtórych drzwi zamknie przed tobą.

Marya.

Ciebie to nieobchodzi.

Anna. /siada na lewo/

Zresztą mnie się podoba kochać tego anioła z całej duszy,
z całego serca, ze wszystkich sił moich; mam obowiązek
otoczyć go opieką miłości, gdyż broni go mnie przed
rozpaczą i zniechęceniem. Robię to, co powinna robić
żona. Ale żona tylko za stołem gości i tak zalana
cnotliwością, że wszystko gardzi, co nie leży jej wtaj-
mniczy, nawet człowieka, którego gnębi i oblepca, by-
le nikomu nic nie dolać, byle tuczyć się grabieżą.

Marya.

Dom mój możesz opuścić.

Anna.

Podoba mi się być w domu Karola.

Marya: /przybliża się do Anny/ Kazę cię strazą wyprowa-

Dnić.

Anna.

Rozczytałaś się w romantycznych baśniach, chcąc Henrietie mu głowę do renty zabić i o stronę majątku. Zapewne zdaje się, że ~~mała~~ jesteś królową i masz wtenczas gwardyę.

Maryja (rozdrażniona)

Strzeż miejsca tymczasem wypłaczy.

Anna.

W Karolym razie pierwej Karol będzie o tem wiedział.

Maryja.

Precz!

Anna (do siebie, Maryja słucha obojętnie).

On biedny... Chowa w domu jaskółkę, zowiąto jaskółkę, to stara nazwa zon drzemiących mężów. Ale ma wspaniałą młodą żonę, która machiawelskim sprytem chce sobie wierzę marmurową wystawić i w niej żnić przy blasku przesypywanego złota... Biedny Karolku, tobie należy się się miękkie ognisko, wygodne gniazdko, ufność kochającej kobiety być piękniał i być mężczyzną. Karolku — kocham, kocham i kochać będę!

Zostanę przy tobie, gdy parafialna zona projdzie manifestować Zbickiego ... Dlatego urodziłam się z tak gorącymi uczuciami. Dlatego od pierwszej młodości miłość tylko żeriwita moje marne życie ...

Marya.

Przestań, gdyż wściekłą być potrafię!

Anna (spokojnie)

Bandziory i giełdowicze nie powinni się wściekać, bo przegrają.

Marya. (silnie)

Otwarcie bronisz swych praw do Karola i rozkazujesz być dom opuścić!

Anna (gwałtownie)

Nie, nie opuszczę! Karol mnie nie wypędzi!

Marya (rzuca się na Annę)

Precz Hetero! Precz Złazyno!

Wchodzi od strony prawej Amelia i widząc co się dzieje rzuca obie rozdziela.

Amelia.

Marysiu!

Anna /rzuca się z nagłym płaczem Amelii na szyję/ Mateńko, już nie pojadę do Zakopanego! Zostanę tu, przy Hanelu. Będę mu stała pomyślnością gniazdo. /płacze cicho/

Amelia /surowo/

Kobiety, dość wojny poza domem, chcecie powięzbacz?/

Marya.

Ciotko, nie zniosę by Anna nie w domu stawała.

Amelia

Tak jest Anusko. Na nasze zmartwienie zjeciatępny tutaj. Już bo ty Marysiu sama nawarzyłaś piwa.

Anna.

Opętało ją.

Amelia.

Skaranie boskie z młodymi. Kiedyś młodzi opętany, Dajawki postawić na czoło, dopiero uspokoicie się.

Anna /napół ze śmiechem i płaczem/

Marysi postaw trzydzieści jeden na brodę, i na palce, bo stracznie szalone. Cha, cha cha... /zaczyna śmiać się wesoło/

Amelia! Żart żartem, ale surowe się niepokoję. Anusko,

zostaw im niech się prawują, ty masz Żabskiego, on taki
szlachetny i wykształcony, tak cię kocha.

Anna.

Fe Żabski. Szalony i zazdrosny. Oo bi'tby mnie o tydzień po ślubie.

Amelia.

Proszę cię bardzo Anneczko. Ludzie są różni na świecie, i bardzo wierzę, że on bez ciebie zmarnieje. Karol nie żądny kobiet, on gdzieindziej swego szuka. Nie umra ciebie, zasadzi do pracy przy biurze.

Marya.

Karol w szpitalu chorym usługiwać, bo jest próżniaczką, bez zajęcia.

Amelia.

Anneczko, matka cię błaga i zaklina byś o Kolomnie pomyślała na chwilkę. Trebunasz się do niego.

W czasie ostatnich słów wchodzi Żabski od str. prawej.

Żabski / z gżebskim ukłonem /

Błogosławieństwo takie zacna kobieto. Zrozumiałaś moje uczucie i pragnienia. / do Anny / Pani Anno, proszę

o taskę, poświęć mi chwil kilka, wybadaj, dowiaduj jak ci się podoba, ale nie odtrącaj wtajemniczonego, który do ostatniego tchnienia o tobie będzie myślał.

Marya / bardzo uroczyście /

Pan prawdziwie godzien godnym i szacunku.

Żabski.

Pani.

Marya.

Przyjaciel Karola w chwili, gdy on dobywa wszystkę swoją energię, nie zapomina o obowiązkach serca i przychodzi tu, gdzie go serce pędzi.

Żabski.

Czy to ma być wyrzutem?

Marya.

Owszem pochwałą. Karol walczy, bo równe walczy, pan dziś nie wiele mu pomoże, stronników pan nie ma jako no. wopryhyty, a obowiązek upełnia pan dwięcie.

Żabski.

Niedorzeczem do wysokości przyjaciela.

Amelia: Jakto nie. Treaty pokazuje się w przyjaciół kiedy leżący

wyjdzie.

Żabski.

Niemogę głosu wydobyć, myśli zebrać, brakuje mi do nieszczęścia tyle, ile brakuje ludziom do doskonałości. /do Anny/ Ty pani los mój w rękach dzierżysz.

Anna.

Czy winnam, że pana dać go nie mogę.

Żabski.

Mnieisz, zwalcz się trochę.

Anna.

A pan zwalczyć się nie może.

Żabski.

Nie dałem próby dostatecznie. I poco mam odcinać moje marzenia, gdy one mi świecą i prowadzą.

Amelia.

Anneńko, wernę cię na rekolekcye.

Żabski.

I mnie pani weźmie, będę się modlił, pani Anna na tronie usiądzie. Wymodlę wreszcie, abyś Ty pozostała moje oczy.

Od strony prawej wchodzi Murzyłło ubrany w stój szykaty.

Murzyłło /niespokojny/

Czy nie było tu pana Zbickiego?

Marya

Wprawdzie gospodarzu, wyprawać się przewoz, chociaż pusti po wiechciatam.

Murzyłło /zatośnie/

Spewnością w magistracie. Dolazi moja jeden głos, jeden głos!

Anna.

Pan ma tak głos donośny, że podróżni tamtym na kilka mili.

Murzyłło /z wyrzutem/

Panienki nie trzeba śmiać się, gdy o wielkie dzieło chodzi. On tak mi potrzebny, Państwo, powiedzieć gdzie on jest, wyprzykam, gońców rozeszlę.

Żabski.

Nie jestem pewny, ale zdaje mi się że w magistracie.

Murzyłło.

Czas gorący, państwo jego mi trzeba.

Marya! Pan nie nierzyka gdy tu o niego będzie pytał.

Trzeba go wyciągnąć z sali wyborczej i do siebie zaprowadzić.

Amelia.

A jakie wieści z pola bitwy. Jak o Karolu pamiętacie.

Murzyłło (z zapałem)

Victoria pani dobrodziejko! Bijemy nowatorów! Pogrom hajdamacki! Pociecha mi w sercu rośnie. Kolel narodowy szumi szlachtą, opozycja stawić się jak jeden mąż. Ani mi, to się patrzeć na nich. Wszystko zdrowo wygląda, rumiane, krew z ucha chce tryskać. Pijemy, wiwatujemy za imię naszego! Szumi, wre, kipi nowi państwo! (robi odpowiednie miny) A partja przeciwna kołtuciory, kupców, co to nie wygadzimy odważyliby się handlować, gdyby między mieszczanami znaleźli tylko zgrzybiałych – To wszystko, aż watykl nowi państwo, miny naciągnięte, krzywą, lepiej pisarą o poprawie rzeczy pospolitej, a chudzi ziko, gdyby bali się własnego cienia. (zamaczyste i głośno) Victoria panie żołnierze! Niech damy się, ozwiędę na kawiarki i takie dlam pokrzepienie na cześć opozycji, że chałica od prawdziwa podobnego nie zapomnięta! Z jesienią nowi państwo pójdą kaem w Chrobrówce sprzedają i stanowiam patrzyć upiliwski. Niech mnie

Kaerba kupnie jak nie postawię! /mówi niespokojnie/ Ale pan Zbicki, Zbickiego mi potrzeba!

Manya.

Powiedziałam, że tego pan nie znajdzie.

Murgtto

Więc gdzieżgo mam szukać, dla Boga, jeden cztos pomaga! Jeden głos moi państwo, a victoria!

Olma. /Amelia siada na prawo/

Zobacz pan sobie. Idź do magistratu i policyjka za nimi wyprowadź.

Murgtto /zdumiony/

Za mną ... /spostrzega się/ A no tak, rozumiem. Widzę, że pan Karol to magnes, to pijawka. Póty obrabiał Zbickiego, aż zrobił z niego postępowca.

Olma.

Widzisz Maryniu nadziałaś się wierzyć.

Manya /zgryźliwie/

To wszystko pozorne. Wiedziałam o tem dawno.

Olma.

Zdaje się, Zawiele urazu sobie

Marya. (zimno)

Za swoje sobie odpowiadam.

Anna (wesoło)

Niech będzie.

Żabski.

Panie dziś nieza z siebie zadowolone.

Marya.

Zapewne. Dla Karola tak wasiny dzień

Anna.

Dla Maryni, gdyż wyleczonych Hubki pierwsze kroki na arenie politycznej stawia.

Marya.

A Anna cieszy się z tego by Karolowi słoneczko, którego nie ma.

Murzyło (zadrwiwszy)

Nieznosi. Stypendium od pani Cybulskiej, niech jej Bóg otrze, gdyż ojciec jej jako sekretarz opozycji stoi w hotelu narodowym i nawet widzieć się z córką niechce.

Marya.

Przewrócono jej w głowie.

Anna /z przekąsem/

Aniół nie kobieta. Tyle poświęcita dla miłości.

Murzyło.

Ależ pani. Mnie się zdaje, że głupstwo palnęła i będzie żałować.

Żabski.

Utrzymuję, że jest bardzo muzykalną, bo gżyrga w swoim sosie.

Murzyło.

Ale niedpowiedziałem pani Annie. Ona mówiła, że pani i pan Karol...

Anna /z wyrzutem, przerywa/

Szkoda, że pan powtórzył. Zasługuję na miano źle wychowanego.

Murzyło /przestraszony/

Ależ wytłumaczę się...

Anna. /zirytowana/

Nie pozwalam... To wojna prawdziwa...

/Wybiega na lewo/

Murzyło /zaniepokojony/

Niechcieniem obrazić, wiernie pomiłuję. Do diabła moja gęba czasem mi niestatkuje. Proszę przeprosić panią Annę, prawdę

dzieć, że myśliwy strzela lepiej nie zawsze trafia. A wtedy w borze odwyknie od salonu...

Maryja / przerywa energicznie /

Pan tu rozmawia, a zapomina o obowiązkach!

Murzyłło / gdyby sobie nagle przypomniał /

Ach prawda! Więc gdzież jest Zbicki, państwo, dla Boga!

Amelia.

Z panem dogadać się nie można. Panie Adamie, idźmy na

Żabki.

Stuję pani.

Amelia / odchodząc z Żabkim na prawo /

Ja córkę dla pana przerobię. Ty udawaj więcej poblażliwego, więcej entuzjastycznego... potrzeba... / wychodzą /

Maryja / cicho do Murzyłły /

Więc jakże.

Murzyłło.

Wtedy za półgodzinki zaczniemy się przechadzać. Wtedy z zaskoczenia przeciw Karolowi otworzę. Siedzą się jedzą, bronią drzwi, rzęzią, chrapią jak w [illegible]. Wino szumi, wre

uśmiech — z drugiej strony smutek, powaga...

Murzyłło.

Co pan myśli o mnie, o żonie Karolu. Powiedz pan otwarcie, tu w cztery oczy.

Murzyłło.

Cała liga oporycyjna nosiła ich panią na rękach.

Marya / zakłopotana /

Ale mnie słyszy, że jako żona występuje przeciw mężowi.

Murzyłło.

Cóż to znaczy. Pani jako dobra żona trzeba męża. Wtedy on wie o tem, pani wszystko jawnie robi, on wie co go czeka!

Marya / mężnie /

No tak jawnie, nie się rozumieć... prócz naszego fortelu dyplomatycznego.

Murzyłło.

No tak, oczywiście ja podziwiałem. Chciałem wywalczyć swoją przychylność Boży mi świadkiem! Hilary dziecinie się spisał. Tu źle zatłoczył, tam rubryki przemieścił, tu niegdyś wpisał zapomniał w wykazach — całość wyglądała na niedbałość i opieszałość, nie tyle na oszukaństwo. Boży mi świadkiem,

nanowna pani. /Wpada w wyraźny patos/ Ależ kanaryj będą nieboraczka. Niech zjé gorzką pigułkę. Boże, gdyby zresztą jego ojczymko wiedziało, że syn taki rewolucjonista .../ociera łzy rękawem/

Marya.

A jednak zwycięstwo.

Murzyło /z zapałem/

Jednego głosu! Absolutna większość ze Chrzikiem! Pani, gdzież on knujesz dla Boga. Kabob, milioner, żeby centa nie dał na cele opozycji. Ja wiem pośwęciłem! Pani Marya! On do ciebie tak się przywiązał, w domu twoim znalazł schronisko dla swego skołatanego ducha i zdrowia. Wiem, że co powiesz, świętem będzie dla niego. Ty dobrodziejko naszego stanu! Ty, nie bój się innej rozdrapichaty bitwę dziedziczną, wszyscy to mówią, wszyscy ciebie na ustach mają... /pomału całuje M. Wilka razy w obie ręce/

Marya /przerażona/

Czy kpią moje. Złote za skurwiecą ludzie mają?

Murzyło.

Wielbi ciebie sławiło, co ci do imienia, wielbią ciebie ludzie!

Jednego głosu mi potrzeba, jednego, jedynego Zbirskiego. Ja go tu śmiącą panią nie rozkoszę.

Marya.

Ma pan stówek.

Murzyllo (rucha)

Stuś pani (podaje stówki)

Marya (siada do stołu, pisze)

Przyjmuj pan natychmiast. Proszę i rozkazuję, ustnie oprócz Marego. Marya. (wstaje i mówi) Inaczej nie przyjdzie. Komu na chwilę ulegnie, trzyma się, lecz nie posłucha sądu bez wachania. (daje kartkę Murzylle)

Murzyllo (całuje Maryę w rękę)

Bóg zapłać pani Marya. Jeden głos, jeden jedyny Zbirski!

Wybiega na prawo i zderza się w drzwiach ze Zbirskim wtaśnie wchodzącym. Zbirski śmieje się ironicznie.

Zbirski.

Co się stało panu Murylle.

Marya (zalotnie)

Wreszcie dorzekałam się pana. Pan sturj sprawom publicznym, lecz czy stroi pan, rzekły rycerz i Zbirskiemu wdowiec

się w tak codzienne sprawy.

Zbichi. /rzuca ciężko na kanapie/

Intryguje mnie Księżniczko ten wytrych zacnego Litwina.

Marya.

To artowich jakich wielu. Mato nie ale nasza potreba, dlatego nigdy go nie lubiłam. Bardzo wielu ludzi żyje z dnia na dzień, o niczem nie myśli i udaje, że dobrze im na świecie.

Zbichi.

Chciałbym mu ten uśmiech odebrać.

Marya /przyglada się Zb./

Pan jesteś trochę rozdrażniony.

Zbichi.

Ja — zawsze jak skrzypiące koło.

Marya.

Oczy pana dziwnie migocą.

Zbichi.

Chyba od gorączki jakiej panującej w sali wyborczej.

Marya /bierze Zb. za rękę/

Ręka dry.

Zbichi: Ona od dawna dry jak osiarynia.

Marya /z niepokojem w głosie/

Dziś więcej.

Zbicki:

Gdym pewnego razu w Paryżu, nie we Wiedniu krzyżat w sza-
panie waltyjerkę z cyrku Renca, to mi później tak samo
w uszach zamiało, jak dziś po tych pieniących mowach
w ratuszu.

Marya.

A – podziwiać się mnę bardzo.

Zbicki.

Dziękuję ci brzydziorko

Marya. (z ekspresją)

Nie dziękuj, będziesz później dziękował, że znalazłam zdo-
bycz dla siebie. Podoba mi się słowo: pieniste mowy.
Dobre, tylko olałej w kasy słów, w odmęty bezdennych a sil-
nych marzeń, w mimy niżdzy bluźnie prące, nad wi-
zaje wypełzające dziewanny, do kwiatów woni pić, do poe-
tów, ich dziewiątków się uczyć...

Zbicki /przymyka oczy, zachwiał/

I umrzeć...

Maryja.

I umrzeć w upojeniu, mając postać nad skałą niebem porosłą, między które ptaki biegają, a pasterz pasterce miłosne pieśni gra na fujarce...

Zbicki.

Aby później umrzeć.

Maryja.

Aby umrzeć w rozbłyskach pręplatanych dzikich ran śpiewem puharu i rykiem niedźwiedzia!

Zbicki.

Pewien obywatel tego miasta tak mówił, że zdawało mi się, iż niedźwiedź ryczy.

Maryja. /mówi z natchnieniem/

Ten obywatel biedny ciałem i nieszczęśliwy. On majątku niema, więc ginie jak dziki zwierz ryczeć i ubijać się za czarnym chlebem, ale ludzie losem wybrani, którzy rojeniom dogodzić mogą, na cmentarzach ramki budować, mogą w złotych sukniach chodzić, ujrzeć jagód leśnych na koralowych miseczkach, i ludzie baczą się, jeżeli nie spieszą w kraj ideałów a tarzają się po ziemi

w szarem błocie. Zapominają, czem były winni i zamiedbują swoje, które tylko dla nich nad ziemią wątpią się.

Zbiski.

Szczęście rzeczywiście wątpa się i płazem jak gad po ziemi.

Marya.

Ono samotnie lecą, wieje nad wsią i miastem, a tylko na tych wpływa, którzy mają otwarte ramiona dla cudów nadziemskich, dla światła duchów i widziadeł.

Zbiski. /przejmuje się/

Wiesz, mamy tam niedaleko, może w pałacu o zamku, który by wisiał w powietrzu, albo miał tak wieże wysoką, żeby jej szczyt chował się w chmurach.

Marya.

Jakto pięknie

Zbiski.

Wiem tobie w zupełności, że szczęście nad ziemią zawisa. Nie, ona nie pełza po ~~ziemi~~ drodze. Tyle światła zniedziałem, tyle zaznałem przygód...

Marya.

Jeszcze dawniej, gdy był młodszym.

Zbicki.

Jeszcze nim zażyłem zażywać morfinę, i nigdzie nie spotkałem tego, aby dało zadowalające uczucie.

Maryja.

Aż dopiero obecnie czujesz, że wkroczałeś się w krainę szczęścia.

Zbicki.

Coś mi mgli przed oczyma i poczyna się zdawać.

Maryja.

Jakowe zniedołęcenie piętnuje ołotychmiast! Siły utrudzenie!

Zbicki

Cha, cha, cha, utrudzenie!

Maryja (surowo)

Zabraniam wybryków. Do czego doszedłeś wybrykami. Że ludzie naigrawają, że sam jak żółw toczysz swoje dnie, że musisz przemóc zdobywać chwile rozwagi.

Zbicki (wstaje i całuje rękę M.)

Mów księżniczko, mów najwięcej i ubieraj serce moje kwiatami – tylko nie marszcz brwi na mnie.

Maryja.

Zbierz resztkę sił i idź prostą drogą tam, gdzie ci wolno.

zuję. Niech ci się zdają, że jestem zaklęta, że jak anioł wio-
dę cię tam, gdzie jeszcze nie byłeś, gdzie spokój, zapomnienie
przeszłości, nowe życie słodkie i czarowne. Chcesz tego?!

Zbichi /zapala się/

Chcę życia nadziemskiego, chcę stracić widok tej skorupy
po której chodzę!..

Marya /podaje/

Stoję pan.

Zbichi /prosi/

Wołam się jak pudelek. Chcę Maryo, mój aniele. Przysiągłem
ci wierność, przysięgłem ci niewolnicze posłuszeństwo, czego
żądasz więcej, módl mi, módl! /klęka i bierze M. za rękę/

Marya /pompatycznie/

Masz wrócić w swoje po prawiecki mury, masz tam klęczeć
nocami przy pełni księżyca, masz patrzeć w swego anioła
jak Noe w tęczę patrzył, bo ona zwiastowała mu nowe
życie, odmłodzenie, odrodzenie, Masz mieć przy sobie
swego anioła!

Zbichi

Wreszcie ty Maryo jesteś moim aniołem!

Maryja.

Chcesz tego!

Zbicki.

Pragnę.

Maryja.

Więc porwij go sobie, otul swą męską dłonią, tarzaj się przed nim w pokorze, ościel mu drogę kwiatami i błagalnem powietrze twemu oniemieniu wypieraj, uprowadź go przemocą chwilę zawar!... Potęga duchów nadziemskich wspierać się będzie!

Zbicki. /patrzy niepewny/

Więc porwać mam ciebie od męża.

Maryja.

Ha! Wola duchów wszechwładnych. Ratować i stracić się pójdzie, gdy będziesz stąpał po różach!

Zbicki. (radośnie)

Maryo nadzieja we mnie wstępuje.

Maryja.

Niech stanie czynem się stanie.

Zbicki: Mów co robić. Wszystko dla ciebie, co żyje

we mnie, co dyszy we mnie. Mów co robić!

Maryja.

Witaj! /Ub. wstaje/ Niech duchy będą z tobą. Podnyl się przed twym aniołem, uderz się w piersi, idź za dom ten, pędź bieguncami do Kornelina. Tam powiedz mojej służebnej Zofii nazwiskiem, by szybko do podróży przygotowała, ja biorę moje rzeźne konie do wozu zaprzęgę, pojadę za tobą, by zaś oczekiwać mnie będzie w altanie winem oblanej, przysięgnie mi jeszcze raz całego siebie i w rączki swoje powiedzie! Idź i wypełnij.

Zlicki /wychodzi/

Maryo!

Maryja.

Idź natychmiast.

Maryja prowadzi Ub. na prawo do drzwi za ręką. Zlicki wychodzi. Maryja wraca od drzwi szybko.

Maryja /rzuca się na kanapę, zmienia ton/ Victoria rozwiodła z Murzyłłą! Całe życie stawiał na rzucie, wiedziałam, że romantyczność głowę mu skutecznie zawróci. Niedługo pociągnie, zatruję go narkotykiem —

a ja milionerką...

Od strony lewej wbiega rozpruty Karol. Surdut ma rozpięty, włosy w nieładzie.

Karol.

Marya przybywam natychmiast. Uciekłem z piekła prawdziwego!

Marya /zdziwiona/

Karolu, kto cię wypuścił, co ci jest.

Karol /dobywa kartkę/

Musiało dać mi kartkę od siebie.

Marya /do siebie/

To głowa nielęga.

Karol.

Skaleczyłem nawet i śmiechem i gwizdami przyjęła mnie publika. Chciałem się bronić, ale twe życzenie było mi drogie nam. Potrzebowałaś mnie, nieprawdaż? Może tęskniłaś za mną i obawiałaś się bym nie dostał się niepotrzebnie. O, było się nam dostać. Pieniądz, mamona, która uczyniła się za ogrom. To czarodziejska siła!

Marya: Więc Kamowicz rozpieszczył.

Karol.

Jeszcze nie, ale zwyciężę. — — — — —

Maryja /roześmiana, wstaje/

A ty.

Karol. /podniecony/

Albo ja wiem. Tyle wiem, że dalej będę pracował. Czy mnie potrzebne burmistrostwo. Nigdy! Wolę być silnym, niewidzianym, bo tak nawet lepiej bronić małych i niewidzianych.

Maryja.

Słyszałam, że przegrana więzi się zabali.

Karol.

Pierwsza w życiu i nie lekka. Boli mnie wewnątrz, rozpiera piersi nerwie, ale chcę stać niewzruszony chcę być silnym i nietroszczić mego stanowiska!

Maryja.

Chyba źle czujesz, że tak mało przejmujesz się domiastem wypadku.

Karol.

Trochę więcej samolubstwa, a tamtym się w twarde o siebie, myślałbym, że mi przewrotni ludzie odbiorą wszystko

co mi drogie na ziemi, że muszę odbiorę. Lecz nie wolno
się zwierzętom stworzenia pokonać, stworzeń rozumnych najwyżsi na ziemi!

Marya.

Przysięgam się tobie.

Karol. /patrzy na M./

Jedna mgnienia mi równowagę.

Marya /cicho/

Jakie.

Karol.

Ty Maryjo drogo.

Marya.

Obiecałeś, że uczynisz mnie na bale przez nas walki.

Karol.

Ciebie nigdy nie uważałem.

Marya /zasmucona/

Dziękuję ci za to.

Karol.

Czy myślałaś tak zawsze o mnie zgodzić?

Marya: Ale skoro tak mało się mną zajmujesz

Karol.

Zajęty tobą jestem od rana do rana, lecz niechcę, byś na mnie
za powiedziała, że jest tyranem i wolę brzęczę.

Maryja.

Nie brzęczę się woli, gdy śledzi się kroki ukochanej, gdy
rady ~~xxx~~ daje i radzi się wzajemnie gdy rządzi się nad
wzajemną własnością i niepodzielnością zarząd.

Karol.

Być może, że nie mam zdolności na dobrego kochanka. Wy-
baw moją niezdolność, ale wiem świecie, że ty jedynie tak
mocno mnie miłośnie ogarniasz i ty sprawiasz mi niepokój
i niepewność.

Maryja.

Niechcę w to zawsze wierzyć.

Karol.

Więc jak wytłumaczyć... Twoja Maryjo. Mówiłem ci, że
kroki twoje będę śledził, byś zażądała wolności, ja ci ją
zostawiłem, czego więcej żądasz... Maryjo, czy ty mnie
kochasz?

Maryja: A ty Anno. /siada na lewo na krześle/

Karol (z podziwem)

A... rozumiem. O Anię ci chodzi. Bądź spokojna, nie umiem kłaść miarodajnych, jestem zbyt pijany we wszystkim, co z mego serca wypłynęło, co uchowałem.

Marya.

Niechaj dokładniej wchodzi w nasz stosunek.

Karol.

W jaki stosunek. Kilka razy namawiałem Anię, by mieszczańskiego Adama przyjęła.

Marya.

Ale namawiałeś za blisko i za gorąco.

Karol (poważnie)

Do obecnej chwili tak z tobą, pani, powiadam, że stosunki moje powinny ci wystarczyć.

Marya.

Pani powiadasz dość niejasno.

Karol (surowo)

Lecz zaprzeczysz, że nie kochałem? (Marya nie patrzy na K.) Dlatego nie dodawaj mi jadu do rozdrażnionych myśli, nie o Anię mi teraz idzie, ale rozkaz w domu

ułożeniu, gdy po za domem zdradzili, opuścili, o których myślałem, że wiernie przyjdą pod sztandarem odnowienia. Powiedz, że kochasz – usprawiedliw mnie... /po chwili/ Biedna, musiałaś drżeć z trwogi, gdy ja w natłoku bytem wypełniony przez przedajnych, gdy z gorączki pot zimny zalewał. /Chwila milczenia, Mł. siedzi od Pk. zupełnie odwrócona/ Nic nie mówisz. Czy gniewasz się na mnie, czy moja boleść gardłem ci zaciska? /zbliża się do Marii/ Marysiu, uchmurz brwi, rozpogódź lica, bym wiedział, że w domu znajdę przychylność, ciepło, zabliźnienie ran zadanych. Wasale czeka dziś długa gorąca rozprawa. Dziś jakby przelatywało się. Myślę z zapaleniem nową Targowicę ogłosić... Kobieto ja będę ciebie potrzebował!... Błagam, dawny uśmiech niech mnie rozbroi a ola mi męstwo i wytrwałość! Marysiu, tyle jeszcze walki czeka!

Marya /nie odwraca się/

Bardzo wiele /przegląda książkę/

Karol

Co się rozgniło. Czy nieradosnemu jesteś, że przeszkadzam ci swoimi skargami. Żonuś ustąpiłbym, dziś nie mogę,

Marya. /stanowczo/

To mi już dowodzi. Nie chcę więcej słuchać. Powiedzenia mój panie, przebódź karę zasłużoną, odjeżdżam do Kornelina.

Karol /przerażony/

Gdzie się podziała dawna Marya, gdzie znikł swobody płomień mej duszy. /po chwili/ Maryo, mam pewne prawa i podstawy, nie pozwalam ci jechać do Kornelina. Mam bronić męża przed zwątpieniem.

Marya /ostro/ — — — — —

Pierwszym warunkiem szczęścia jest wolność i zwalczanie drugich.

Karol /rzuca się na fotel/

Wolność! To mówi osoba która mnie więzi...

Od strony prawej wchodzą Cybulka i Sikora/

Cybulka /pawonim/

Ramowicz wybrany!

Marya. /radośnie/

Victoria! Karolu dowiedzenia! /Wybiega na lewo/

Sikora /mówi K. za rękę/

Panie, Ramowicz, Ramowicz!

Cybulka / trzyma Kr. /

Odezwij się – co ci jest. Karolu!

Karol / obojętny /

Już wybrany.

Cybulka.

Już. Radca zamało mieszczańska, zawiele inteligentników.

Karol.

Cóż zawiniła moja żona.

Sikora.

Pani wołała „Victoria", zapewne z rozpaczy przeniosła się do hotelu „Victoria", gdyż tu naprzeciw mieszka Ramuwicz.

Cybulka.

Nie żartuj panie Sikora, nie czas na to.

Karol.

Smutno mi.

Cybulka.

Nie traćmy ducha. Zabierzemy się do następnych wyborów rady miejskiej, przewalimy kartelowców.

Karol / wstaje /

Nie tracimy ducha. Zanar, zaniechajcie mnie się ogarnę. / po chwili =

ch!... Ona mnie kocha, ona powiedziała, że kocha, mimo [redacted], że słowa tego cudownego nie wymówiła. Ja zazdrości trawiła. Potwierdza mnie, potwora mego nieszczęścia! Ale karę mnie skarała. Padło słowo, gdyż ja całego świata nie przeklnę się, a ona nieraz będzie żałowała chwile.

Cybulka. /poważnie/

Co za smutne tyrady wygadujesz. Zirytowała się kobiecina, że niezostałeś wybrany i trochę ci dokuczyła. Moja Vanda też także niewzięliwa. Gdyż wybory, to wszystkie żony tak oszpiecają, że kasiory nigdy w domu krzyż pański przechodzi.

Karol.

Ty Cybulka szczęśliwy, idziesz tak zgodnie z żoną.

Cybulka.

A tak dobrze mi. Nie powracam się, bom niezasłużył na wiele, uganiam się dzień cały po fabryce, a żona za mnie gada. Gdyby nie ona i tyle niemiałby głosów.

Karol.

Marya mnie kocha, tak, jestem jej spokojny. /wesoło/ Tyle biedy, że burmistrzem nie zostałem, dlatego krótki żal.

Sikora: No tak, pan musi niejednu biedę przejść, jak kaz-

dy ułowiek. I ja bredluję czasami w Kornelinie, dzieci jiro=
zą...

Karol (dziska rzeca Sikory i Cybulki)

Wy porcziwi, dredy, niepuszczanie zwyciężonego.

Sikora.

Karolu, my zawne tam, gdzie ludzi prawy szanować umiejo.

Karol (do Sikory, rozzewniony)

Ty obywatelu niejednu drogę chwilę mi przyjaciel. Powiedzcie, gdzie się kryjo ci ludzie, co rozumu majo, co godności nie plamio. Was tak mało na świecie. Gdyby nie ty Sikoro, czy mógłbym walczyć? Ty mi Kornelin dzielnie upraviasz. Wdzięczny ci jestem jako przyjacielowi, bo jesteś mi przyja=
cielem. Ty nie inden oficjalista, tyś mój współpracownik, brat po pługu. Powiedz, czem mogę ci przysłużyć się, chciał=
bym bardzo odwdzięczyć się.

Sikora (zarumieniony)

Karolu, chleb twój jem, bo na twojem pracuję. Lecz ja prosty rolnik, potrzeb tak dalecu nie mam. Praca i obo=
wiązek dla tych, co sumieniem żyjo, jest to przykazanie moje i ziomy. Dzieciom to w krew wpajam, a jeżeli chcesz

mi sprawić radość, rozpędź mgłę, niegnuś nieporadności, bądź przewodnikiem naszym jak najdłużej. (ściska rękę K.)

Karol (rewnie)

Ty ideale ostowieka! Sikora przyjacielu, niech ci rękę ucałuję (dusi S. w ręku ratował, Sikora ze zdumieniem wyrywa się) Ty umiesz się tak matem obyć, tak nie wiele potrzebujesz. Namiętności nie gryzą, spokojnie patrzysz, aby sprawić. dliwości się działa, masz dzieci i dla nich pracujesz. Ideale ostowieka! Daj usta, niech ze czcią ucałuję usta, które tak. kie słowa rodzą (ratuje się z Sikorą)

Sikora.

Bóg zapłać, Bóg zapłać!

Karol.

Błogosławieni ci na ziemi, którzy matem obejść się po: trafią. Tym żaden potwór ducha nie opęta, są bezpieczni i bezpieczeństwem swoim drugich bronią ... Wchodź odwagi mi i kochani. (Do Cyhulki) Druhu, będziemy się bronić i ża: bych bronić do ostatniej kropli! Jaki ja naiwny. Zbliżaj: go się Mawyż moją pozagratem.

Cyhulka: Uśmiać się. Żyjący trup straszy ciebie. Jest

rego boi się.

Karol /ożywiony/

Gdy ona kocha i pracować mogę, nic mnie nie stoi! Romanowicz mnie zatrzyma? Ale go przerazimy, gdy napiętnujemy publicznie, że namiętności go pędzą, jednem słowem z podwyższeniem zepchniemy — nas nikt nie trzeźwi, tacy jak my giną wtedy, gdy świat w posadach zadrży! Ale jesteśmy wybrani, gdyż naszem hasłem, to Sikora powiedział.

Cybulka /wesoło/

Więc dlatego zwyczajem rozstawiaj wino i papierosy, pogawędzimy o różnościach. Przyjdzie Wanda, pani Anna będzie śpiewała i zabawimy się na złość zwycięzców.

Od strony prawej wchodzi Illuryłło.

Karol /spostrzegając się zwraca się do Cybulki/

Zaczekaj jeszcze nie wszystko skończone.

Illuryłło /staje na środku/

Bardzo mi przykro, szczerze boleję panie Karolu, że w mniej przyjemnem przychodzę położeniu. Ale cóż robić? Opowiedzą na swoje prawa, wam wolno iść o lepsze, nam także wolno.

Karol.

Wszystkim wolno być lepszymi.

Murzyłło (wyjmuje z kieszeni papier)

Przeczytaj pan to pismo.

Karol (odbiera papier)

Niech pan łaskawie usiądzie, bardzo proszę. (przegląda papier – z boleścią) Zaćmi mnie ludzie kawą! (do Cybulki) Przeczytaj, litery tańczą jakiegoś piekielnego mazura. (siada na prawo)

Cybulka (czyta. Sikora i Murzyłło siad. na lewo)

„Obradujący więc członków akcyjnej spółki dla ex. portu zboża zaprasza pana Karola Witeckiego jako członka i administracyjnego kierownika tejże spółki, celem oczyszczenia się przed wiecem z zarzutu niedbałości w przyjętym obowiązku i oszustwa na własną korzyść. Wiec nie przesądza sprawy przed tłumaczeniem się pana Witeckiego i tłumy, że teraz pospieszy, by osobiście oczyścić się z zarzutów jego godności uwłaczających. Sprawą zajmie się wybrany sąd honorowy, przeto i czynności przedstawienia swoich arbitrów powinna przyjąć pana Witeckiego do osobistego zjawienia się. Za wiec (nowi) podpisany

prezes rady nadzorczej Chrzpecki.

Likwor (zrywa się, do Murzyłły)

To szatańska zmowa.

Karol (do Cybulki, niepewny)

Cóż mam robić.

Cybulka.

Niech wniosą skargę do sądu.

Murzyłło.

W sądzie będzie gorzej, lżej przed ziemskimi sprawę załagodzić.

Karol (porywa się)

Przed ziemskimi! Gdzie są ziemscy na świecie. Nigdzie nie ma. Chorały mężczyzna szatan, karóla kobieta zmija!

Murzyłło (spokojnie)

Proszę się nie unosić. Podejrzenie winy nie jest, dowody będziemy dopiero szukać.

Karol (wyrywa Cyb. papier drze i rzuca M. pod nogi)

Ta drzwi panie proste! Niczego nie chcę, nie chcę prawa, bo niesprawiedliwość zawsze spotykam, nie chcę o wolność zamawiać się, bo niewolnikiem chorały rodzi się i opuszcza w kajdanach!.. Ta drzwi panie proste, [illegible]

Murytto (gwałtownie wpada na K.)

Miler, odrzepieńcze, zakato swego nazwiska!

Karol.

Plugawca gęsią zamknąć potrafię.

Murytto.

Kulą odpowiem ci bestyńcie, smarkaczu, który na zwyrki porwać się umiesz.

Karol.

Precz ślepcze z moich oczu!

Murytto. (pewny siebie)

Ojciec twój ruina się w grobie. On drży się, że już wstać nie może, ale ja żyję i zrobię jak mi trzeciego nakazuje. Jestem bije smarkaczu, a teraz idź na wieś, bo się okropnie oszustom!

Karol (z boleścią)

Wszędzie wtorzą, nawet w dwie wieże, ... Oszustem jestem! ... Zabili mnie!

Cyrulka (do Murytty)

Widzisz pan jak boleje. Idź pan, później się to załatwi.

Karol: Niech ziemia do ciemnych idzie. Wynoś się, bo

wyrucę!

Murytto /w panji/

Miłej smarkaczu!

Od strony prawej wbiega Amelia, Żabski za nią, od lewej Amas

Amelia /przelękła/

Boże, co się dzieje.

Karol.

Ciotko on cię przedrzeźnia. Siwi tylko siwych słuchać lubią.

Amelia (urażona)

Karolu, gdzież ja siwa.

Karol (stłumiony, do Murytty)

Więc proszę pana, nieprowadź mnie do ostateczności, przyjdę, zrobię co zechcesz, nie obrażaj mnie swoim widokiem.

Murytto. /gniewnie/

Odchodzę, bom roztropniejszy, ale kiję smarkaczu, kiję za twoją oporzycę smarkaczu! Żegnam.

Śpiesznie wychodzi na prawo.

Karol: /zatacza się/ Podłym mnie zrobili. Szaleńcy mnie

szaleństwem zarażoną!

Amelia.

Co jest, ależ opowiedz nam, palą się z niecierpliwości.

Karol

Przegrałem wszystko, zrzęsię przegrałem. Na wieczu otkazali mnie o zdradzieństwo!

Żabski (przejęty)

Na świecie niema królów, niema władców, niema prawa panuje niaństwo!

Karol.

Gdzie Klawya?

Anna

Pojechała do Kornelina.

Karol.

Prawda. Ona nienawidzi, by tak jak ja nie cierpieć. Skarb mój prawdziwy ... Oby tu jesteśmy. I powóz jesteśmy. Nato byś Jaśnieniczka udawał, a wy z litością patrzali na zdradzonego, przeklętego, wyrzutka!

Żabski.

Równowagi — przypuści rzeka.

Karol /przygnębiony/

Brak mi równowagi. Nie chcę być innym od ludzi, chcę być poniżonym, obdartym, wzgardzonym, ale chcę być równym, niesplamionym. Gdy mi to odebrano, niema równowagi, jest szał, śmierć, rozpacz, wszystko najzrozumiejsze.

Żabski:

I ty to mówisz. Nie upadaj, bo za sobą tylu pociągnięsz. Ty masz obowiązek...

Karol.

Jestem człowiekiem i siły mam dwoiste. Wrodzeni najpierw się zdrady i przedajności, w spółce podeszło mnie. To zawiele! Drogi, dajcie mi trucizny, albo ziela, które mnie uzdrowi! Dziś nawet, jakiby powódź górskiego potoku, który nagle wzbierając, powinie cały obłytek rzetowicka.

Anna /patrzy Kar. w oczy/

Pamiętaj, że masz wielu kochających cię.

Karol. / patrzy chwilę na Annę, prędzej tego stychał wcielenie Amelii/ Ostatnia stawka! /nagle wpada w niezwykłą wesołość/ Victoria wcielona Ameryka!

To filutka nelka mnie w Korneliusie. Tam jedziny, wspaj razem, tam odetchniemy w prostocie nocy księżycowej. Anno, będę prawował, będę o wolności niestrudzony waleczt. Czy osmet mi mnie się poprawić? Będę cię Anno przekonywał, że tak zacnego stowarzyka jak Adam nieznajdziesz drugiego. Jasz jemu wolność, sama się zwolnisz! Tak do Korneliusa! Jedziemy do Korneliusa!... /wybiega na prawo/

Anna. /wychodzi za K./

I my do Korneliusa szczęścia w miłości szukać!

Żabski

Bo wszystko inne pucli mamy.

Robi się ruch, gdyby obecni chcieli wychodzić

Zasłona spada.

Akt czwarty.

Scena przedstawia noc w pełni księżyca. Ogród, drzewa, klomby trawniki oświetlone modrym blaskiem. Na środku altana obrosła winem, w oddali między drzewami widać dach i kominy domu Witeckich. Księżyc na niebie. Na lewo ku przodowi ławka kamienna.

Karol /przechadza się, przygnębiony/

Pobity, skatowany. Muszę się kiedyś do zwierciadła przyglądnąć, jak taki sztowiek wygląda. Zapewne ma wygląd jak nędzarz, który trzy dni nie jadł i jak natchniony złodziej, który trzy tygodnie nic nie ukradł...

Od strony lewej wchodzi Amelia.

Amelia.

Cóż ty tak sam, taki rozdrażniony. Chodź do nas, lepiej ci będzie.

Karol.

Już mi nigdzie lepiej być nie może. Samotność twoja mnie rozweseli.

Amelia.

Ależ nam się niedobrze robi, gdy na ciebie patrzymy.

Karol.

Wyobraź cudzoziemca, któremu odmówiono wsparcia, a on ma żonę i dziesięcioro głodnych dzieci. Co powiesz o nim?

Amelia.

Powiem, że jest bardzo nieszczęśliwym.

Karol.

Nietylko nieszczęściem życiem, lecz biedny i taki sam nędzny będzie ubolewał nad takim ustawieniem. A ja jestem podobnym. Dzieci ducha mego skrzywdzono, mojej duszy nie dano pożywienia. Duch głodny i nędzny, bo zdeptano mnie tylko, dlatego, którym pracowałem.

Amelia.

Lecz gdy tak będziesz rozpaczał nic nie zyskasz. Zgrzeszysz się i zasmucisz.

Karol.

Nie staraj się mnie pocieszać. Twoje dobre serce cenię bardzo, lecz po słowach pocieszenia bójmi mnie lżejsze.

Amelia.

Dziwny jesteś człowiek. Przecież wypada nam pocieszać, niemogę inaczej robić. Serce mi się bunty, kiedy chodzisz samotny i ręce łamiesz.

Karol.

Wy siwi ludzie...

Amelia /prezywa oburzona/

Proszę cię Karolu nieprzekonywaj sobie, że jestem siwą.

Karol.

Prawda, Ciotka ma jeszcze nie mnie włosy. A przecież wielatlym gdyby Ciotka miała siwe włosy. Tak poważnej osobie więcej przystoją siwe.

Amelia.

Jużem poważna, to prawda, lecz zawrześnie mi na siwe włosy. Wmiarę niemam i zapewne nie będę miała, to dlatego nie zapuszczę siwych.

Karol: Ma Ciotka prawo do wszelkich, zresztą włosy piasz

wiejąc. Nie można wstrzymać naturalnego przebiegu.

Amelia.

O, dlatego nie.

Karol.

Jakto?

Amelia (do siebie)

Ach, mogłam się wygadać. (głośno) O tak, zapomnij o tych frazkach. Karolemu stworzeniu może się smutek zdarzyć.

Karol.

Coś podobnego wątpię, a gdy się zdarzyć wolę sam pozbawić bólu i żalu, pocieszenia złożyć mnie. Dlaczego stworzenie kobiety tak lubią pocieszać!?

Amelia.

Cóż innego mamy do roboty. Jesteśmy w wieku, w którym na nas nie patrzą, musimy patrzeć na młodych i dozorować. Dlatego, by mieć jakieś zajęcie, pocieszamy, swatamy, bajarzymy.

Karol.

I tak dzień za dniem się wlecze.

Amelia: A tak. Bardzo nieraz przyjemnie.

Karol.

A dobre ci na świecie?

Amelia.

Dobre. A komu to dobre na świecie. Ciężkie życie kobiety czuje, uczuciu tyle nieszczęść, grzyść się o wszystko trzeba.

Karol.

Ciężkie życie kobiety czuje. Więc chyba śmierć jest najlepszą.

Amelia.

Karolu, skąd ci przyszło na bluźnierstwa?

Karol.

Skąd. Ze świata, z domu, zewsząd. Nierozumiem ciotko, co znaczy stracić wiarę w szczęście ideałów, zostać zbrodniarzem. Tyle pracy, a samozgnicie robaków niszczy jak stara rudera nogę kapuścia. A przecież byt to gmach silny, przez tyle kamieni zbudowany.

Amelia

Co cię to może obchodzić.

Karol.

Że jestem oszustem! O, to nie obchodzi tych, co stracili wstyd utrwalony. Ale ja jiż przejrzany stoję się podobnym do

trędowatego. Boli mnie, że zdaje się, że Anna poraniona, poraniona, krwawi, a ... ten nikt tego nie rozumie.

Amelia.

Irinia się tobie. Przyjechałeś tu, aby ułagodzić zmartwienie, a zamiast tego, włóczysz się po ogrodzie i rozpaczasz.

Karol.

Co będę w domu robił? Tam żona rzeczy porządkuje, kufry znosi, w jakowąś podróż się wybiera. Boję się nam naprzeciw się i zawadzać.

Amelia.

Właśnie szukającemu tutaj nadeszłam, bo Maryna pytała się, gdzie jesteś i co robisz. Widzisz, ona troszczy się o ciebie. Może chce niespodziankę zrobić i wyjechać z tobą, byś się rozerwał.

Karol.

Proszę ciotki, co ciotka o Maryi mówiła.

Amelia.

Mam tyle kłopotów z Anetką, że przyznam się, niebardzo uważam, co Maryna robi. Wiem tyle, przynajmniej Anna mi mówiła, że chce z ciebie zrobić opatrznego człek-

cica i na plan jej ja się zgodziłam.

Karol /twarzą/

Jaki plan.

Amelia.

By moja Amerika uwierzała, że w tobie się kocha, tym sposobem ciebie do winy i większej uległości zmusiła po wylaniu spisku. Cóż z tego, kiedy ona w tobie naprawdę zakochała się.

Karol.

Wy spisek na moje rymowi namotały. Cześć wam intrygantki!

Amelia /z wyrzutem/

Bo za wiele o wszystkich starałeś się, a własna łaseneś drwiona.

Karol.

Cały świat i dom podminowany! I pytasz ciotko, dlaczego po ogrodzie błądzę. Ja palę się gorączką, jestem oszołomiony, widzę przed oczyma czarne widma, które straszą.

Amelia.

Idź do Marysi, pomów z nią, nie rób awantur. Panowie

by to się wyjaśniło, Amerce zakaz mięszać się do was.

Karol.

A wiem napewno, że Maryna mnie kocha.

Amelia.

Ach, jestem świecie przekonana.

Sikora (za sceną, od str. prawej)

Karolu, hola — gdzie pan.

Karol. (głośno)

Tu, tu jestem.

Wbiega od strony prawej Sikora.

Sikora.

Panie Karolu, ledwie pana znalazłem. Jestem głupi z tego co się dzieje. Pan Zbicki kazał zaprzęgać parę koni i radził Jędrzejowi, że pani pojedzie na kolej.

Karol (z przebłyskiem dawnej energii)

Ja o tem nic nie wiem

Sikora.

Proszę w to wdać się. Co pan Zbicki ma do koni. Pan albo pani Maryna. To mi się jakoś podejrzane wydaje.

Karol: (spokojny znowu, przygnębiony) Podejrzane? Przery-

wiście, gdyżby ona mogła jechać. Ciotka właśnie powiedziała, że żona mnie bucha, i nawet obecnie nie dziwię się, że nie przejmuje się moją klęską, gdyż nigdy nie figurowała robiąc, bym stanął sprawcom publicznym. Ale celu podróży nie mogę się domyśleć.

Sikora. /cyrus/

Ja tamhardziej. Mówiły pani radziłaś pójść i przekonać się.

Karol.

Dobre byłoby pójść, bardzo mi chce się nazucać się. Gdyby przyjechał, taka byłaby zdziwiona.

Amelia.

Mamusia byłaby pewna, że na wieś pójdziesz i w mieście zostaniesz.

Karol.

Więc dlatego chciała ze mną jechać, jak mówiła ciotka, gdy spodziewała się, że w mieście będę.

Amelia.

Mnie się tylko zdaje, że jeżeli tak, musi się przygotować.

Sikora.

To pani jedzie? I nie wie pan o tem?

Karol.

Wiem, już oddaliłem się od wszystkiego, co pomienione.

Sylwan.

Jak głupi chodzę przyznam się. To skąd wie pan Elicki o tem pierwej niż pan.

Karol.

Skądon wie. Żona mu powiedziała, bo opiekuje się nim i wszystko jemu wcześniej opowiada.

Amelia.

Muszę precież raz wmięszać się do tego. Zawołajcie tu, zaraz przyjdę.

Karol.

Idź ciotko i przyprowadź Marysię. Do domu iść nie wogę tam mi duszno.

Amelia.

Naturalnie. O, wykryjs robaka. Zawiela sobie Marysia pozwala.

Odchodzi na lewo.

Sylwan.

Jak głupi chodzę przyznam się. I poco pan do Korneliny

przyjechał.

Karol

To urzędnik.

Sikora.

Gdzież jest to urzędnik. Pan wygląda jak mawa i do niebi gada, a pani w swoim pokoju kuferki pakuje. Co to za gospodarstwo. Wstydź się pan tak żonie bryki pozwalać. Ma się rozumieć, że kazały kwi bryka, gdy mu się ugli popuści.

Karol.

Ja bardzo kocham tę istotę, lecz śmiał jej drogiej woli.

Sikora.

Z babietami nie można jak z ludźmi. To gryzące bestye. Radziłbym pójść do domu, wypić kieliszek zalewarej dla animuszu, wsiąść na balę i nieść beczy jeśli zawinięta.

Karol.

Niech beczy. Kiedy na świecie tak, że niewinni najwięcej cierpią wylewają.

Sikora: Babom nie można wielkich kalumnii przy-

pisywał. Leń z głupoty tyle dokazuje, że wtedy stają na głowie. A na głupich jedno lekarstwo – strach! Ber filozofii, strach mach, babo przysięgłaś miłość i posłuszeństwo małżeńskie, stul buzię, jeżeli gadasz i wymyślaj na mnie grzech jaki, to ci posługuję.

Karol (patrzy w ogród)

Nt. Ulewa się, ktoś idzie tam. (wskazuje za altanę) Idzie Marya...

Sikora.

Karolu, więcej męztwa! Mniej myśl, a lepiej będzie ci w życiu. No, idź do żony, nalaźnij jej w pysio, powiedz, siedź bawełko na ciepłem śmieciu i nie bzykaj...

Od strony prawej z głębi wchodzi Zbicki ubrany do podróży.

Sikora.

O! Tam ten chudy. Chodźmy na bok.

Sikora bierze Karola za rękaw i natężnie zabiera do altany.

Zbicki postępuje zwolna naprzód i patrzy w niebo.

Zbicki.

Jak cudna noc księżycowa. Duszyca ptynie swobodnie

po przestrzeni bez chmur... tajemnych duchów niepojęta
władza odbiera sen ... śpiewa Anna. Ona kocha Karo-
la. Kobietom trzeba zazdrościć. Kochać bez końca umie-
ją i nigdy nie znudzą się. Bez czem mężczyzna nudzi
się i gruchnieje? Ja nic nie wiem, zawsze Manya księż-
niczka zawsze nie wszystko...
Duchy dobre! Błagosławię was, żeście pozwolity spotkać
anioła. Bytbym już nie żył, robactwo pożeratoby mizerne
ciało, dusza jęczałaby jak ta widmo nad stawami.
Ale ona zjawiła się i dała mi kilka kropel balsamu
z lotosu. Coś mi się śmieje, ale tak jak księżyc pieści
delikatnie liście swoim blaskiem, tak mi się żyje z Ma-
nyą uśmiecha. Zatwardziałego grzesznika żaden zakra-
ment nie wzruszy. Próbujmy nasycić zazdrość... Chwała
to wszystko kłamstwo i złudzenie. Nawet, że tak pięknie
jak poeta mówią, to kłamstwo! Ja nie mówię, to księż-
niczka mówi przez moje usta. Ach! na jej łonie um-
rzeć, przy pieśni duchów!... /przechyla się chwilę, patrzy
w niebo — za chwilkę widzi wyraźnie Annę od strony
lewej/

Anna.

Jam tu!

Zbicki /powoli odwraca się/

Maryo!

Anna. /głośno/

To nie Maryo! Panie, gdzie Karol. Furje zaprowadziły go może daleko. A mnie trzeba znowu Karola ujrzeć. Gdzie Karol, widziałeś go?

Zbicki.

Niewidziałem.

Anna /przechodzi obok altany, żałośnie/

Gdzie Karol! Karolu.

Karol /wychodzi ze Sikorą z altany/

Tu jestem.

Anna

Ach! dobra że jesteś. Szukam z przerażeniem zbłąkanego na pustyni.

Karol.

I znalazłaś tego, który wodzi zimnej mienia. Płonie zwątpieniem i mienia ciemu boleści ugasić.

Zbiski (spostrzegł K. z Anną w głębi stojących)

To on! On tu! Duchy opiekuńcze. Unikam z miejsca zapowietrzonego. Mamy, ty już powinnaś być ze mną za górą. (Odchodzi spiesznie na prawo)

Sikora (do siebie)

Co mi szkodzi pójść za nim.

Odchodzi za Zbiskim skradając się.

Anna (namiętna)

Bałuj mnie przed Żabskim! Napada mnie ustawicznie.

Karol.

Mogę tylko kategorycznie, gdy ku mnie zapłonisz.

Anna.

Niemogę, bo ty jak słońce mi świecisz.

Karol.

Świecę nieszczęściem! Gdzie stąpnę, tam wali się pożarek, tuna świeci jak świadectwo zniszczenia. Dlatego zapalitan i oświeciłem na krótki czas gromadę ludzi aby być tuną i pożarem.

Anna.

Nie, ty jesteś moim rycerzem, ty walczysz mnie i jeśliś

uległ, to na chwilę, gdyż siła potwarców nigdy długo nie trwa.

Karol.

Pośr potwarców są ptaszy, które obojętnymi nazywają się. Jeżeli redaktor Trzebiński mógł mnie opuścić, powiązję się na zawsze.

Anna

Ale obojętni nie umarcy. Są duchy, które za tobą pójdą chwały w kraj światła.

Karol.

Gawetka tylko.

Anna.

Ale ta gawetka wyrówna rzeszom tamtych.

Karol.

Ja gawetki nie potrzebuję, ci wierni i wiernymi zostaną, a mojem losem i przykazaniem walczyć!

Anna.

Pocz, by dojść do tego, do czego dziś dążysz.

Karol.

Właśnie dlatego niemam nic w oczach i niewiem co począć.

Anna.

Kochaj mnie.

Karol.

Mam kochać mego przyjaciela.

Anna.

Ciebie jedynie i na zawsze.

Karol.

Ja Mawyą kocham i ona mnie kocha.

Anna.

Niekocha!

Karol.

Anno, ostrzegam cię. Nie mów niebacznie. Jestem zdolny się zapomnieć, gdyby to prawdą było. Pojąć się o tem napiąć. Gdy mnie ucisty moje uczucia kochanie, stałem się zaślubem i pragnę miłości. Tak, zdobędę się na odwagę, zmuszę Mawyą, by ugięło się przed mojem sercem, oplotła mi rękoma szyję i nazawsze kocham ... kocham ...

Anna (oplata K. szyję.)

Kocham ... kocham ... bez końca, bez winy, bez pa-
:miętci! ..

Karol. (rozmarzony)

Jaka boska pieśń, jak tęgodzi ból, jak gra potężnych
hymn – spokoju i zadowolenia. Mamyo, Mamyo, żono
moja!

Anna.

Powiedz Anno, kochanko moja.

Karol (nagle odpycha Annę)

Nie! Nigdy tego nie powiem, gdyż nigdy nie będę ciebie
ani innych kut w kajdany. Idź do Adama. Jej jemu
to nego pragnie, a będę ciebie za siostrę uważał, będę
czcił ciebie jak drugiego Boga do szczęścia.

Anna.

Kochasz dziś jako niewolnicę, bo wkrótce, tak mi tęsknisz za
pragniesz.

Karol.

Nigdy nadziejej nie będę czcił.

Anna.

Zbrew ci się wzburzy, gdy będziesz z innym widowcem.

Karol (szybko, rozdrażniony)

Za pewnie mówisz. Mogłoby to być prawdą.

Anna (stanowczo)

Jest prawdą.

Karol.

Nie jest. Ty zdradzasz się zbyt wyraźnie. Sobie dobrze radzisz, a mnie zabijasz. Dbasz sądzisz, że uciechom się rychlej.

Anna.

Dość się poniżam. Przed tem dumna i hardą, dziś klękam przed surowym mężczyzną, bo nie sądź bym podstępu użyła. Pogardzasz mną, bo idę do ciebie, gdzie w smutku i w poniżeniu... Goliłyś się lepiej zastanowić, zanim jak wrak dla mnie. Nie mogę uwierzyć, by tak uczuciowy mężczyzna nie zażądał miłości kobiety. Ty przeczuwasz tego, więc będziesz mnie kochał, bo innej do kochania nie będzie.

Karol (zimny)

Sądzę, że lekarz określiłby stan twój. Ty cierpiącą jesteś! Zdrowy mózg nie zrodzi tego, co stąpię od ciebie.

Anna.

A jednak twój zapał, twoje poświęcenie, twoja praca tak mi się nagle wydały, że przypięłam się sercem i wier-

nosí.

Karel.

Tym sposobem do stolca nie dojdziesz.

Anna.

Dojdę, bo jest mi rozkosznie, gdy ciebie widzę.

Karel.

Więc zmarnieją twoje przysięgi. Dziś jestem zupełnie inny, podejrzliwy, bez ideałów. Idź na świat gonić namiętności, swego ducha wavholca i miłuj Karola. Jego zabójca przed tobą stojący ręka przy klasku bożyca na Marya i ręka obmowego ogniska zarazy między ludźmi.

Anna.

One już minęły: jesteś spokojniejszy. Porzuć wspomnienie, myśl o mnie, zasypij w tajnie rozpadku, odgadnij mnie.

Karel.

Wspomnienie złych świerzb. Parę godzin upłynęło od chwili, gdym nadzieja żył, gdym słowem zapału wołał do wolności. Przeklęte godziny tumanu kurzawy zrobiły z przepaści moich ziomków i przeklęte godziny w któ-

wyjdę ja zostałem prochem, poniżonym.

Anna.

Poniżenie za poniżenie.

Karol.

Za kamienie dam chlebem odrzucai.

Anna.

A do mnie rucasz oszczepem pogardy.

Karol.

Mówię – będę rzucił, gdy zdejmiesz pęta Adamowi.

Anna (słucha K. za ramię)

Nienawidzę, nienawidzę nigdy! To przechodzi zakres mego czucia.

Karol.

Więc sama to zatem narzucasz. Anno, rozkazuję zrzucić szalone porywy, bielmo zdjąć z oczu, rozkazuję mnie widzieć, wyjechać stąd z Adamem, kochać go i pracować z nim nie dla namiętności, lecz dla wolności i równości!

(Od strony prawej wchodzi Łabski)

Łabski.

Wieczór sierpniowy natchnął do śpiewania...

Karol.

Mam przeczucie, że to jedno z ostatnich karań.

Żabski.

Mamego z ostatnich.

Karol.

To mam pewność, że Anna będzie ci wzajemną.

Żabski: (ściska rękę K.)

Masz pewność! Ztoty, drogi przyjacielu. Mam pewność, że wejdę do raju. Ono takie dobre. Mówiła ci to przed zekun-
dą, muszi się jeszcze w powietrzu parę złych niepotrzebnych sendeczek dla mnie. Ecko mnie je niedie, mówi mi drogi przyjacielu. ...

Anna.

Przyjaciel tego nie powie, kaz dice by tak było.

Żabski.

Wdzięczny jestem pani i za to.

Karol.

Chowaj wdzięczność na rzeczy godniejsze.

Anna

Zupełnie oczywistą niepotrzebna.

Żabski. (zmienia ton)

Powiedz Karolu, mówiono w mieście znaleźć narzeczoną?

Karol.

Słyszę, że mówiono, ale nie w zmysłowej... Albo ja wiem, co powiedzieć.

Anna. (siada na lewo na ławce pod drzewem)

Tłoczą myśli o uberpieczeniu, gdy mu się domu pali. Goły bochan, nigdy nie śledzę dlaczego. Tłoczam i kroczam.

Żabski.

A cenna tylko odręczna dacja miłości do pani.

Anna.

Bo jest niepotrzebną. I proszę pana bardzo, by nie pozwalał sobie więcej na podobne uwagi.

Karol.

Więc poco przyjechaliśmy do Kamieńca.

Żabski. (do Anny)

Powiedziała pani, by w mieście narzeczonego szukać.

Anna (obojętnie)

Ja tego szukam i Karol

Karol: Ale bezdzietnie szukasz, jesteś podobna do tych, którzy

za Romanowiczem głosowali. Tumanili samych siebie. Anno
w imię powinowactwa, słuchaj mnie jak starszego brata.
Ten człowiek, mój drugi, znam jego zacne myśli, jego
stalowy charakter, patrz w niego!

Anna /patrzy w Karola/

Dziś tylko w ciebie patrzyć mogę.

Karol.

A jutro.

Anna.

Jutro mnie nie obchodzi. Jutro mogę gnić na mogiłach.

Karol.

Więc ci nie dobre na ziemi, gdy dziecięcem żyjem.

Anna.

W życiu jedyna zaleta rozkosz miłości.

Karol.

Adam niema tej rozkoszy i Bóg mu ją zabrał.

Anna.

Całe jego nieszczęście, że ma prawo to wracać do mnie
co nowi, kompta z minionej przyjaźni.

Żabski: I zabaw wspólnie w dziecinstwie spędzonych.

Anna.

Tego dnia nie zapomniałam.

Karol. (załamuje ręce)

Dolanie i tu prześladowany. Nie mam nic. Zagadka życia wikła się.

Żalski. (do Karola)

Chciałem być z tobą...

Karol.

Niewarto.

Żalski.

I widzę, że to również zniknie. Chcę stracić kobietę i widzę, że pieśń tylko zdolny stracić, bo przeczucia dla siebie zadnych nie mam. Obecnie jestem nikim. Zaskoczyłaś mnie – po powrocie z obczyzny tak rozwinęły się potężnie, że powstrzymać nie mogę. Przyjacielu żegnaj!... (do Anny) Anno, tem się pocieszaj, że marzenie o tobie całego mnie przejmuje. Wyjeżdżam napewno do Niemiec, tam po knajpach będę robotnikiem. Zawiadomię drodzy. Zastanowiam was, bo tu nieszczęścia moje zbyt koło. Tam nic nie będzie rozbito. Smutki obcych ludzi

tyle mnie obejdzie, co ulewa rybę.

Karol.

I miłość niewiasty ma ci życie popsuć, utopleć ważyć?

Żabski.

Wiem, że źle robisz, że kraj mnie woła do pracy. Lecz
gdzie jest równowaga — ja nie wiem.

Karol.

Między ludźmi prostytucja — skwar...

Anna.

Ale w upojeniu zbawiennym płyn.

Żabski.

Niema upojenia, więc żar gaśnie.

Karol.

Widzisz, że jestem bezradny.

Żabski.

Przemawianie pomnaża. Do widzenia drodzy.

Karol.

Żartujesz?

Żabski.

Oddalam się. Za wiele widziałem.

Karol.

Wstrzymuj mi mocno siły.

Żabski.

Próżno silisz się. /do Anny, wyciąga ręce/ Anno! ...
Ani słowa przy rozstaniu. Brylant albo węgiel... Pędź
latawce! Użyj przez chwilę i kolor gorący mowę radości,
uczucia! I powróć także nie piękna, cicha, mówiąca
o miłości. Poco kaiś ciężar świata i nieszczęść! W drogę
tułaczu!

Wychodzi na prawo potrząsając za Anną.

Karol /stoi w miejscu/

Oddamie, będziemy pracować! Wróć za miesiąc.

Żabski /za ścianą/

Jestem ścigany, muszę uciekać.

Karol /ostupiały/

I znowu nowy wstręt w sercu. Cha! Śmiać się z mej
przyjaciół, kiedy ci, którzy mienią się towarzyszami, żyją
gorączką za chwilą, czego dogonić nie są w stanie.
/Siada obok Anny na kanapie/ Ty straszna zwolenniczko,
zwróciłaś przyjaciół grubian i zdaje ci się, żeś spokojna!

Chyba nie mylisz i w odrętwieniu moralnem płyniesz jak woda spokojna. Lecz przepowiadam ci, jeżeli rzeczywistego uwodziciela nie uwolnisz, przekleństwo spadnie ... Anno ... mylisz!

Anna.

Gdy zaczną mylić będą rozpaczała jak ty, a tego nienawidzę. Otrzeźwiejesz się, gdybym miała pojąć, że kogoś o zgubę przyprowadziłam.

Karol. /wstaje/

To stanowczo się nie zgadzamy, jeżeli za Adolfem nie pójdziesz.

Od strony prawej wchodzi Marya ubrana w suknię podróżną.

Anna /ironicznie do Karola/

Marya idzie powiedzieć ci, rozegrać skrzypiego.

Karol. /bierze Marię/

Maryo, tyś przyszła do mnie. Czy wiesz, ile wieków powietrza rozpaczy przeżyłem. Czy słyszałaś o klęskach. Odjechałaś bezwzględnie do Korzelina, porwałaś tułać się do zimnej rosy, nie słałaś przy mnie w zwątpieniu.

Marya: Wszak mówiłeś przed kilku dniami o pewności,

o zwycięstwach, o nieomylności twojej teorji.

Karol.

Nie mów. Wiem co mi rozumiesz. Ale dość tej kary, dość rozpaczy wyroku. Przestań patrzeć na mnie jak obca osoba, wróć mi opiekę, bo w duszy rozpacz, w myśli rozterka, na zwale runienie klęski!

Marya /obojętna./

Nie myślę rozmawiać się z tobą o długiej rozmowy. Przykrość z prośbą.

Karol.

Ty z prośbą, z rozkazem przybywaj moja pani.

Marya /rozkazuje ręką na Olmę/

Niech ci rozkazuje kto inny, jui niemam prawa.

Karol.

Jakto niemasz prawa, jesteś stróżem mego gniazda.

Marya.

Jui dawno nią być przestałam.

Karol.

Więc jesteś współwinną moich dni.

Marya: Nie, nie jestem.

Karol. (boleśnie)

Więc to wszystko prawda!

Marya (zimno)

Prawda.

Karol.

Jedzie odemnie?

Marya.

Jadę

Karol.

Poco, dokąd.

Marya.

Szukać szczęścia i wolności.

Karol.

Gdzie.

Marya.

W pałacach

Karol (zwraca się do Anny)

Anno, nie bądź świadkiem. Watykan się za mną. Takiego stopnia rozdrażnienia u Kobiety nie widziałem.

Anna odchodzi na prawo, za sceną przez chwilę kilka sły-

chcę pieśń miłosną, którą śpiewa. Śpiewa wiecznie miłość.

Mlanya.

Niepotrzebnie ją odwołasz. Robię jawnie, by nieporozumień uniknąć.

Karol.

Zastanów się.

Mlanya. /siada na lewo na ławce/

Rozważyłam dokładnie i proszę cię o chwilę posłuchania. Od czasu, gdyż tak bardzo ideałów zasady w życie wprowadzić i zamiast złota własnego majątku chodzić, rozmaitych spółek i towarzystw pełniąc gros bez względu na różnę, wyśmiany przez tych, którzy w ery publikatora prawili...

Karol.

Wrotawa tylko lewica mnie wyśmiała.

Mlanya.

Wszyscy rozsądniejsi wyśmiewali się zawsze, a ja mogąc mieć własne zdanie na mocy twego rozwolenia, gdyżem to wszystko widziała, przestałam cię kochać.

Karol / załamuje ręką przy oczy/

Niemów tego! Niewiem, musiu to skarać, nigdy nie zdra-

dratuś się...

Manya.

Bo zdradzić się niechciałam. Dziś wyjeżdżam od ciebie na lat parę.

Karol /jakby niezrozumiał/

Wyjeżdżasz?

Manya.

Wyjeżdżam i proszę o nadesłanie mego posagu w kwocie 40.000 pod adresem, który podam listownie. Proszę o przyrzeczenie i dotrzymanie słowa, gdyż w przeciwnym razie utracisz resztę uposażenia. (chce odchodzić)

Karol /nagle, gdyby opamiętał, chwyta Manyę za rękę/ Nie puszczę ciebie!

Manya

Tego się nie obawiam, gdyż zrobiłbyś sobie. Słabej kobiecie więzić nie masz prawa.

Karol.

Mam prawo szaloną kobietę wstrzymywać od rzucenia się w przepaść.

Manya: Życie z tobą leży na dnie przepaści.

Karol.

Przypomnij sobie dawne czasy, gdyś inaczej mówiła. Śnił tam moje ideały tę podniebłotą, gwarzyłaś o wspólnem szczęściu. Dziś rozbijasz, moje i twoje.

Manya.

Sam w spaczności wpadasz. Walka u ciebie jest celem gonisz za nią — mnie walczyć zabraniasz i mówisz, że ciągłą brzydzę.

Karol.

Więc co bijesz się.

Manya.

Walczę o złoto i pieniądze.

Karol.

I chcesz tam ciepło znaleźć!

Manya.

Znajdę materyał do ciepła.

Karol.

Jakim sposobem niebawem. Złoć sprzedaniem siebie?

Manya.

Sposobem sprytu i wstrętności. Ten tylko wyjdzie zwy-

ciężko między wrogami ludzi, kto zdoła tyle wiarygi, tyle bojaźni, tak tęczyć, że wreszcie stoczy się tam, nagle pragnie. Będę taką, bo mam spryt i przebiegłość. Wrócę niedługo powrócę z dowodem. Ty egzaltujesz się, chcesz wstępowaniem ludzi podbić, wypieraniem sprytnych ~~dla siebie~~ nie miecrem lecz pokorą – wyjdzie tak jak dziś wygrałeś. Po snach radosnych zostaną ci pustka, zwątpienie, ból i rozpacz. Tu jest różnica, że moje wrogi będą zdradzać i opuszczać, ja o nikogo nie dbając, stawiając siebie na środek operacyj – dbając marzeń.

Karol.

Jakbyś straszna, bo ponure i blade proroctwo mi mówisz. Czy w istocie wrogi mnie opuszczą?

(po chwili, gdyby pomyślał o zemście) Nie – ty jesteś w halucynacjach, prawdziwe rzeczy opowiadasz. Ty pierwsza mnie nie opuścisz, bo sobą dajesz przykład słabości tych ludzi. Dajesz świadectwo o sobie, żeś w zapamiętaniu wbrnęła zdradę, że jedna sprężyna która zawiedzie, zatrzyma wszystkie maszyny!

Czuję się już za to, że w chwili krótkiej okrutnych podarta, nowa myśl ~~władzi~~ wrodziłaś... Tak jest, za parę dni przejdzie moja martwota, znowu bronią prawdy uderzę na was i pokonam. Słabotna zapłacisz mi za to krwawe upomnienie. Jako zwycięzca będę wtedy pokoju, ty podbita będziesz mi służyć za żonę w całem jej wielkiem pojęciu, zostaniesz na mojem oręziu.

Manya.

Nie. Thorwaldzie spojrzyj na mnie prosząc zwróciła, nie mogę lekkomyślnie puścić się w świat.

Karol. /pewnie, jasno/

Nie będziesz tego potrzebowała. Ciebie trzeba jak dziecko opieki otaczać. Sądziłem, że dojrzałaś odwagą, tymczasem potrzebujesz w otoczeniu jak panienka w krótkiej sukni. Zawarłaś ze mną dobrowolny układ małżeński, przysięgałaś mi miłość i nieprzedajesz powodów, jakobym ja był przyczyną twego obecnego zamiaru. Stanąłem w obec siebie, zrzuciłem to, co wolną i niepodległą zrobiło, momentem zarzucenia jest u cie-

bie namiętność i zaślepienie. Użyłaś Anny przeświadczenia, że będzie stosowną, bo fanatyzm miłości znałeś z bardzego jej ruchu i słowa, Romawira zapewne także namówiłaś do wielu jego podstępów, bo wspominał coś o tem. Że siebie zrobiłaś ofiarę, a ja po to żyję, bym ofiary dwigał, sam gnanoroc ich cierpienia. Stokrotne zapłaty, niech ci los wróżbita tego coś uczynił — ja w tej chwili odrzekłem po godzinie zamartwienia. Ty będziesz prawną ofiarą, którą dwigną, bo ty mi najdroższa!

Marya.

Więc chcesz przemocą mi wyjazdu zabronić.

Karol.

Dobrze i dokąd jedziesz.

Marya.

Wiem tylko, że od tego wyjazdu, którego nie kochasz.

Karol.

Słuchasz! Tylko mania i namiętność to probrywa i rzuci gdzieś, gdzie sama nie wiesz . . .

Marya: Nieumiem źle przewidywać i jadę po pewne

zwycięstwo. Nie zaś, żem przykła prosić o pozwolenie. Mam prawo mieć własne postanowienia. Dlatego zrobię co chcę, przed odjazdem chciałam tylko otrzymać przeczenie posagu.

Karol.

Masz prawo być samowolną. Tak jest. Lecz wolność, jako jedyny szczebel do szczęścia ziemskiego – to miłość niewolników, dobrowolnie z pod jarzma opętania ziemskiego. A twoje przeczenie przeklęte niebie. Więc idziesz w niewolę, więc podwójnym obowiązkiem moim jest zakazanie tego.

Marya.

Zrobię, co zechcę. A teraz do sprawy. Dotrzymasz słowa?

Karol.

Dotrzymam.

Marya /zamierza odejść/

Więc nie zapomnij – natychmiast.

Karol /surowo/

Więc natychmiast pomnieć. Maryo! – stój! Nie waż się krokiem dalej stąpić! Rozkazuję ci jako

zwycięzca! Nie, nic nie straciłem, utrzymuję się w swoim biegu, inni padną dziesięć razy, ja wytrwam! Masz mi opowiedzieć o wszystkiem, co myślisz!

Marya (stanowczo)

Myślę jechać! (odchodzi, Karol biegnie za nią kilka kroków i chwyta za rękę)

Marya przerażona usiłuje się wyrwać.

Marya (wydaje głośny okrzyk lęku)

A!.. Więc brutalnej siły chcesz użyć! Niegodny faryzeuszu! Ocyń się pierwej z zaszłej zbrodni, potem będziesz drugim rozkazywał.

Karol (puszcza M. staje się)

Ach! Jestem zbrodniarzem. Maryo...

Od strony prawej wbiega Elicki.

Elicki. (zaambarasowany)

Księżniczko, uchwaliłem z tchnieniem. Nawet twój głos zastyszałem, jak synogarlicy pędzonej przez jastrzębia.

Karol (w złości, biegnie ku Elickiemu)

Jak śmiesz pan przerywać ciszę wieczoru. Nie proszę

listwy obrońcy, ja sam wystawcę!

Marya (zastępuje drogę)

Ocuć się pierwej!

Karol (zatrzymuje się)

Łamiesz mnie! Żono moja, tracę równowagę!

Marya.

Więc niemam prawa drogi mi zachodzić.

Karol

Nie mam prawa nawet złemu dobrze radzić. (przerwie) Nie. Dobrze radzić ma prawo nawet nieprzyjaciel. A ja jestem twoim przyjacielem, ubezpieczonym, kochamy bez grozmic... Sikora, hej! Jesteś tam Sikora (bije w oltanie)

Sikora wybiega z za altany.

Sikora.

Jestem zawsze przy tobie.

Karol.

Idź i z parobkami moje konie zajmuj. Zamknij w stajni i wartę postaw.

Sikora (odchodząc na prawo)

Dobrze się bierze Karolu. Ale boby rozumu, bo brykają

jako cielęta.

Zbicki (do Marii)

Idę z obawy o nas Księżniczko.

Marya.

Odwagi i stateczności z dobrym duchem.

Zbicki.

Chodź, chodź, byle prędzej aniele.

Marya.

Powiedz mu to, że idzien ze mną. (popycha Zbickiego) No, ptoclyy gołębiu!

Zbicki (do Karola, który uciekł na stronę)

Spotniało się. Pomnie, ja biorę twego anioła, który stworzon zbłąkane duchy wiódł w najlepie ogrody rozkoszy.

Karol. (wstaje, do ~~Marii~~ Zbickiego)

Ty jej brzeszcz?... (do Marii) Ty oglądna dałaś się temu tchurowi?

Marya.

Masz dotrzymać mojej zgodnie. (do Zbickiego) Duchu, chodź za mną. Idzie nam sprzyja...

Karol (jakby majaczył) Chmie zamknięte...

Maryja /do Zbickiego/

Pójdziemy pieszo, jak wygnańcy białym gościńcem nad stawem, gdzie lilie wodne kochają się w promieniach wczesnego poranka. Chodź! /podaje Zbickiemu rękę, i wychodzą za ołtarz na lewo./

Karol /patrzy utkwionymi/

Ona mnie zupełnie nie kocha. Szczęśliwa, że uciekła odemnie!

Zegnie kilka kroków, opiera się o ołtarz i wybucha przejmującym, głośnym płaczem.

Zasłona spada.

Akt piąty.

Scena przedstawia dziedziniec warsztatów fabrycznych Witeckiego. Żelazivo, formy do odlewania żelaza, piasek po lewej stronie wrota i ściany z wielkimi oknami warsztatów. W tyle sceny część zakryta budynkiem z wysokim czerwonym kominem. Na ścianie pod dachem napis czarnymi literami „Witecki i Ska". Część prawa tyłu sceny opatrzona sztachetami i bramą, przez którą widok na ogrody i miasto. Z prawej strony dom mieszkalny z ogrodkiem obrosłym dzikiem winem. Na lewo kilka drzew, ławka i stół ogrodowy. Całość nie wielka i skromna.

Scena pusta. Przez okna warsztatów dochodzi zgiełk pracy. Zgrzyt żelaza, maszyn, odgłos kujących młotów, ruch fabryczny. Za chwilę wchodzi od domku Sikora.

Sikora.

Jak głupi durnia przyznam się. /patrzy na zegarek/ Tak, dwunasta minęła 17 minut. Że też człowiek na stanowisku traci pojęcie obowiązku. Mój Jasio to formoza. Musiałem pisać z nim kaligrafię na popołudnie, boby dostał w szkole za uszy. A tyle Jasiów, Boże – mam pełny gawniec. Dzieci, oczywiście, ale wreszcie mamy co jeść z zarobków Karola. Tak z zarobków Karola. /idzie do dzwonka przymocowanego na ścianie w tyle sceny i dzwoni/ Anioł pański zwiastował Pannie Marii. I poczęła się . . .

Na odgłos dzwonka wychodzą z warsztatu robotnicy. Zgiełk ustaje, nareszcie wchodzą młodzi i stanowi ubrani jak do ciężkiej pracy. Jedni się przeciągają, inni biegną po środkowym, dlatego wychodzą przez bramę zupełnie wzajemnie „dobrego południa".

Walenty /do Sikory/

Pan nas dzisiaj wkurwił. /Dotyka zegarka/ Za 10 minut północ pierwszej.

Sikora.

No to przyjdziecie o tyle później.

Walenty: Niechcę naprzykrzać się panu Witeckiemu. To

stawiek, co mnie wnyatko z zagarkiem w ręku robić, więc zbenta, gdy zaczniemy po drugiej.

Sikora.

Ja was wyttumaczę. Uhwariacie, zapóźniłem się. Syna niebaka trzeba byto wczyć do szkoty.

Walenty.

Mój chłopak uczy się jakby go kto najął. Bogu dzięki niemam z nim kłopotu. Ojej, żeby tyle biedy byto, co z moim Jórkiem. A jurny, ani mito. Na drugi rok idzie do przemystówki za fundusz, który pan Witecki wyrobił. To większy rejwach, że moja baba z obiadem nie przychodzi, a zostajek krzywdzie jak w post wielki. /Do jednego z przechodzących ludzi/ Antoni, Antoni.

Antoni.

A co tam słowy.

Walenty.

Jak wyjdzien do domu, a zdybiesz tam po drodze moją babę, to nagoń ją, bom głodny.

Antoni /nakłada fajkę/

Zaraz wyjdę, muszę fajkę dopalić.

Inny robotnik /z bramy/

Już idzie ojciec. Upieny się jak kacor do wody.

Walenty

Albo będą dobre spać, albo co się zdarzy, bo mi żona spóźnia się. No coś rekamy panie Sikora.

Sikora.

Nacelujmy rekali. Ta wzupcy na obiad.

Walenty.

Dobre że i na to rekamy. W zimie piżam mamiat z nie= dostatku, ozi pan Witecki wydobył mnie. Oj, ten pan ślachy szczodry, niech Bóg da mu najlepszego.

Sikora.

Ale poczciwemu Bóg zawse miłomaga. Nażalił się nie= boraka.

Walenty.

O, ma taka ślicna panię przy sobie, dobre mu kuć pozimie.

Sikora.

On z nią nie żyje, to siostra jego żony.

Walenty.

A tu mówią po mieście, że na wiarę żyją, tylko że ona

mozdrok i dobrok, to niekenywiśmy się na nią zpuskoca. Zwykle takie beatye to nisnerą porządnych ludzi.

Sikora.

Nie, oni żyjóm ze sobą jak rodzeństwo.

Przez bramę wchodzi Walentowa z koszykiem.

Walentowa.

Bondzo ci się zklito mój panie mężu.

Walenty.

Oj, myślałem, że mnie zbrzeci bez ciebie.

Walentowa.

Albo bez twego obiadu /rozkłada na stole pod drzewem oliwa garnki i tyżki/

Sikora.

Daj'wom Bóg smacznego /odchodzi na prawo do domu/

Walenty. /siada do stołu, Walentowa stoi/

Daj' Bóg, dziękujemy.

Walentowa.

Na drodze jakiś panisko dopytywał się o ~~[illegible]~~ pana Wileckiego.

Walenty: A nie gadałem, że ktoś przyjdzie. Pan Sikora spóź-

nit się z dwoukiem na potudnie, a ty z obiadem.

Walentowa.

I pytał się o tę panią, a ja mu powiedziała, że na wczorę
zajdzie, to takie oczy zrobił, aże mu się przelękło.

Walenty. /dmucha w łyżkę jedząc/

Nuco ci babo mówić zawsze co na myśli. Że tak wy nigdy
gęby w porządku nie trzymacie.

Walentowa.

A co mi tam, mówiłam jak jest.

Walenty.

Otyż tak nie jest. /dmucha/ Za gorące ugotowałaś.

Walentowa /ogląda się/

Coby nie było mężczyzn. /spotrzega w bramie Adama Żabskiego/ To ten pan się pytał. /głośno/ Tutaj panie, tutaj.

Wchodzi na dziedziniec Żabski.

Żabski.

Wiem, wiem, przeczytałem.

Walentowa.

Chodźmy do fabryki jeść, bo mnie niedobrze. /idzie zabierając garnki/

Walenty.

E, siedź głupia, co ci to, wstydzisz się angielka?

Żabski /oblizuje się/

Dobre południe.

Walenty.

Dziękujemy, Bóg zapłać. /do żony/ To widać nie angielka. /do Żabskiego/ A czy pan za interesem.

Żabski.

Nie, jestem znajomy pana Witackiego.

Walenty.

W kancelaryi w południe. /je dalej, Walentowa przy niem siada/

Żabski /idzie na prawo na lewo, rozgląda się/

Po takich zawiedach jak kot na wojsztanowi, to przemyślnie. Ale niczego nie rozumiem. Wreszcie dziś rzemieślnikiem. Coś więcej zajść musiało niż widzę. Pisał tam coś, ale co takiego?.. Cha — przerobiły go facta i stał się egoistą jak wszyscy. Ona go przemarzyła. Anno! Ty spewnością wzbogacona, ale ja ... ale ja ... /rozgląda się/

Z ogrodu wychodzi Karol. Bardzo ma elegancki, w bluzie robotniczej, pantalony aksamitne, pończochowe. Sportowe

szy Żabskiego, biegnie ku niemu i rzuca się na szyję.

Karol

Adasiu! Adasiu kochany! (Żabski nieco strzymiony)

Żabski.

Jak się masz Karolu. (przygląda się) Istny robotnik z ciebie.

Karol.

Co ci do mnie. Ja nikomu niedogodzę. Ale ty! Skądeś się wziął nagle. Pisywałem wszędzie, gdzie się opodziewałem że jesteś. Ale ani słowerkiem nie dałeś znaku. No, rozpowiadaj Adasiu.

Żabski.

A tak. Już rok blisko jak znowu pędzę po świecie bez upamiętania. Nocami trapiły mnie sny straszne. Skrzą się świecił, altana w ogrodzie ty, jawią mi kto ciebie, ja gonię nimfy, gdy dogonię ujrzeć nie mogę, bo mgła i nic więcej. Dniami pracowałem na kawałek chleba, stryj mi trochę dopomagał i tak się wlokło. Później nie mogłem żyć bez jej wiolonu.

Karol.

Jakże można było nie pisać. Czy w istocie żadnego listu

nego nie otrzymałeś.

Żabski.

Dwa otrzymałem w Monachium.

Karol.

Więc dlatego mnie nie usłuchałeś.

Żabski.

Chciałem być dobrze wychowanym i nie psuć waszej harmonii.

Karol (zdziwiony)

Jakiej harmonii.

Żabski.

Twojej z Anną.

Karol.

Jesteś w urojeniach.

Żabski.

Nic mi nie jest przez wzgląd, że ty stoisz przeciw mnie. Ale gdyby kto inny, zaraz bym rozpłatał brzuch.

Karol.

Ja ci mówię, że mojej narzeczonej.

Żabski (zraniony)

Przynajmniej nie jadowity. Sam dbasz o siebie, więc ci dobrze.

Ale zręczać się nad opłakania godnym, to nie kłopotliwie.

Karol (wesoły)

Lufos jesteś Adamie. (dobywa papierośnicę) Zapal papierosa i gadaj. Ot, ci ludzie nam się ustąpią i opowiemy sobie po trochę z całego roku. A wiele się stało wielkowych rzeczy zapewniam ciebie.

Żabski.

Uważam.

Walentowie ustępują się i wszyscy wychodzą za bramę, jeden z robotników przychodzi i kładzie się pod murem na trawie.

Karol. (siadają pod drzewem)

Musiałem sprzedać Kornelin, by zrobić pewien zapas optowi. Za to co zostało dowiedziałem się tego, co praktyczniejsze, niżeli, że mam o technice pojęcie.

Żabski. (smutny)

A z twojem usposobieniem?

Karol.

Dla ludzi wesoły, dla siebie markotny.

Żabski.

A szczęście?

Karol.

Za górą, bardzo niedaleko.

Żabski.

Dziwię się, gdyż słyszałem inaczej, że w domu.

Karol.

Który ci to mówił.

Żabski.

Spotkałem kobietę, jak niosła obiad mężowi. Opowiadała mi rzeczy, które mnie barwy kim nawet pokorały gdy do kraju przyjechał. Ale dla ciebie były bardzo pomyślne. A wiedz w głos narodu.

Karol.

Bo vox populi najwięcej plotek robi.

Żabski.

Nigdy z palca nie wyssą, tego co mówią.

Karol.

Być może. Jednak gdy ustąpi ów niebezpieczeństwo, dodadzą tyle nowości, że arlekina zrobią z prostej sprawy. Pewnego razu na przeciwko ulicy upadła z pierwszego piętra dwuletnia dziewczynka, a przy oknie stała niania z dzieckiem.

Ktoś to widział, jak niańka wyglądała się patrząc za chust-
kos. Powiedział to babie, baba swojéj sąsiadce, że po-
duszka z okna spadła, sąsiadka innéj swojéj sąsiad-
ce, że pierzyna, ta znowu, że dziecko w pierzynce, tak
że na końcu ulicy zrobił się rumor i gwałt, iż z pierw-
szego piętra z okna wyleciała na kamienie niańka
z dzieckiem i zapiła się! Masz przykład, Cj. Adasiu
szalony. I poco trzeba się było uciekać i wódzić w zabobo-
ny i przemarzenie.

Żabka.

Dobrze zrobiłem, między tobą a Anną byłem interesem. W
okropny ten wieczór, gdy ty szalałeś, ja nieznacznie bujé
innym. Ta okrutnica, która mi życie zatruła, tuląc się
do ciebie zniknęła mi się w oczy. Nie byłem panem siebie.

Karol.

I popędziłeś w świat zapominać.

Żabka.

Więc zgadnij, że jestem w stanie wierzyć w siebie dziś bar-
dziej jak przed rokiem.

Karol: Dziś będziesz wierzył, gdy się dowiesz wszystkiego.

Żabski.

ji się dowiedziałem i nie chcemy na więcej.

Karol.

Więc zapomniałeś o Annie?

Żabski.

O Annie! Chciałem zapomnieć – nie mogłem. Jestem wtajemniczem spotworzenia więc mamę przebywać jeden z jego chorób. Zdrowych między nami nie ma.

Karol.

Wyjątkowo.

Żabski.

W wyjątki nie wierzę.

Karol.

Jeżeli nie wierzysz w zdrowych, wierzysz w uleczalnych.

Żabski.

Mając ciebie za przyjaciela i przyjaciół, nie dziś, ale wkrótce – miałem środki leczenia. Lecz choroba ty upadł jedyne przeciwieństwo w życiu, miłość zaloty do Anny schyliło mi nadzieję i metodo stawca umysłu, dziś tem bardziej nie mogę się leczyć, bo zarazem przemogła, ciebie

już nie mam.

Karol.

Mam przykłady niezaprzeczalne.

Żabski.

Ludzie się, jak wszyscy prawie tłuszczą się. Ja już się nie dziwię, że to właśnie najciemniejsze na świecie.

Karol.

Człowiek jest w stanie niemanii się, mam dowody.

Żabski.

Ty sam zachorowałeś po przejściach i dotąd jesteś słabym.

Karol. (ustaje)

Ale nigdy. Jestem na swojej drodze prostej i ścisłej. Opowiem ci dokładnie, ten lepiej pojmiesz. Kiedy w mojej ustawicznego odradzania się w imię wielkich idei musi zwyciężyć! Drugi raz nikt mnie nie podejdzie.

Żabski.

Podejrzewam, że niezrozumiałe mówisz.

Karol.

Z jakiej przyczyny?

Żabski: Gdyż wpadłeś w kadzielnicę poziomej gonitwy za

pożądliwością. Oszukujesz już siebie i drugich.

Karol.

Ogromnie jesteś przygnębiony.

Żabski.

Komu uda się zadowolić pragnienie, które zrosło się z duszą nierozdzielnie, ciągłą ziemską nęcącą: Ale ja pędzony jak zaklęty i widzący to samo dokoła, widzę tyle, że kto się śmieje, drugim nakazałt. Kto nie kradnie, musi być smutnym.

Karol /wesoły/

Trapisto. Cha, cha, cha, zaustydź się! /przyjaźnie/ Niepo. dobasz mi się. Godzi się po przyjacielsku ani razu nie zapytać, gdzie Anna — czy zdrowa. Ja w odwet nie ujrzę Ciebie. Rozpoznaję u ciebie wielką chorobę, prawie śmiertelną, ale dokarzę, że ulecze.

Żabski. /ponury/

Wiem gdzie Anna i co robi. Rozkazuję jej przy twoim boku.

Karol /zdumiony/

Oddasz!

Żabski: Innemu powiedzmy, tłb rozwalisiłbym, tobie

niemam sumienia przez wzgląd na przeste szary.
Lecz nikomu nie dziwisz, gdy tak smutny kąsek za-
garnie.

Karol (stanowczo)

I dlatego nigdy nie poszedłem spokoju. Przetrawiwszy naj-
większe chwilowe urządzenie, sięgnięm po drugie niepewne,
i tak ciągle w gonitwie. Dla siebie chciałbym i nawolałbym
byś drugich, by siebie nasycić i patrząc na siebie, widzę
oczy zaniglone, nerwowo przygryzłe usta. Jolumny
jestem, że kazała godzina nowe kamienie do mojej bu-
dowy nazuca! Zaczekaj chwilę, zaczekaj chwilę...

Odchodzi do domu przez ganek. Kilku robotników pij
prędko i śpi na trawie pod murem.

Żabski (rozgląda się)

Ludzie śpią smacznie, chociaż pewnie potłuczone ciała
ich dostatecznie nie nasycito. Ale oni głupi, nie myślą.
Takich w uwagę nie bierzemy. Lecz czy myślący może
być szczęśliwym?.. Chyba, jeżeli...

Spostrzega Annę prowadzoną przez Karola za rękę. Ubrana
bardzo letnio, na głowie kapelusz od słońca.

Karol.

Pani Anna wyjdą na powitanie pana Adama, bo pan Adam niebyt tackaw o niej zapytać, bez Hiobowe jęki wypraviat i mnie podejrzywat. Powiedz wyraźnie coś o mnie myślał.

Żabski (zapatrony)

Anna...

Anna. (skromna)

Pani chciało się pamiętać o starej znajomej.

Żabski (nerwowo, rozjaśnia się)

O tej starej znajomej nigdy myśleć nie przestałem. Gdy Karol mi pisał, że pani mieszka u niego, że pani dla mnie niema, przechodziłem męki jak Ulisses za dymem rodzinnej chaty.

Karol. (do Anny)

Uwierzysz, on całkiem przeżarty boleścią.

Anna.

Panie Adamie. Cztery pory roku niemal minęły, odkąd mieszkam z Karolem. Ale jego prawdziwa dusza mówi, że mi wiele przez ten czas, że w końcu śnić o panu zaczę-

tam, który daleko z żalu do mnie odbiegłeś.

Żabski (rozmawia się)

Śmiałeś o tutaw! Nie warto się jego przekleństwo!

Karol.

Niejednie chwile spędziłem z Anną na rozmowie o tobie. Nie moja wina, ale miała spostrzeżenie i widziała nieuleczone choroby zaślepionych umysłów. Rozumieć powołanie zadanie ludzi na ziemi.

Anna.

Widziała wypaczkiwany i wypaczkiwanych.

Karol.

I ujrzała ciebie niewdzięcznego wypaczkiwanego przez namiętności, a siebie lekkomyślną, samolubną wypaczkiwaną. Niech ci sama powie, jak mylił o tobie zaufała.

Anna.

Śmiało mi się wierzyć, że krzywdą pomną ojcową na dół. Wtedy żal ściskał mi serce, płakałam nad dolą pana.

Żabski (mówi się K. w objęcia)

Drogi przyjacielu! Ty miałeś siłę tak być wielkim, po takim upadku!

Karol.

Ta siła stwórcza mnie trzyma ... Ale Adamie, dość ci powiedziała moja wątpliwości.

Żabski.

Pani Anno, pozwalasz wejść mi przez furtę Edenu.

Anna. /skromnie/

Nietylko pozwalam, ale pragnę tego całem sercem, jako odradzona.

Żabski /ratuje w rękę/

Bądź błogosławiona.

Anna. /podaje rękę/

Kochaj mnie zawsze tak gorąco.

Żabski:

Po grobu.

Anna.

W pracy i służbie wolności.

Żabski.

Nowe życie rozpoczęło, nowe cele. O mojo! .. Nasze wspólne duchy będą naszem stróżem.

Karol: A ty oddziałeś, że nas wiara zjednoczy.

Żabski.

Tak was zrozumiałem/was/

Karol.

Wszyscy obcy są tego zdania, toteż uważają, że może całkowicie pozbyć się nerwów mimo towarzystwa uroczej kobietki.

Olma.

Nieuwierzą tak, bo pan Adam was jeszcze będzie pożądał.

Żabski.

Niebędę go pożądał i na zawsze wyrzekłem się o jego przewadze i szczęściu.

Karol.

Niezupełnie bez prawdopodobnie. Dawniej stanowczo za wiele twierdziłem, dziś mówię, że szczęście blisko, za górą, ale zupełnie nie sprowadza się w duże ludzkie. Ludzie zbliżają się dość możemy ale tylko przez miłość i wdzięczność — posiadać nigdy, bo cóż my posiadamy — wszystko zniszczone. Słońce, promienne słońce idei, to ziemskie szczęście jedyne! Cóżby było, gdybym jak wiatr zmienił Maryę do uległości. Powiedziałem i myję — Adam

jej, nie zażądam miłości, gdy niepodobna.

Anna.

Mamy o niej do terazu.

Karol.

I nieraz żal za nią tłumi i duszi. Pojechała, wzięła posag, zrujnowała moje rodzinne upodobania. Niechaj powodzi się jej najszczerzej na świecie, lecz boję się, że ukaże się kiedyś straszne...

Anna.

A, niewie pan jeszcze. Karol miał proces ze spółką. Wuj Hilary wykupił się od więzienia, bo Karol nie nastawał, Murzyłło wykupił się również, ale Karol wyjścił się publicznie.

Karol.

I cóż dalej. Murzyłło z rozpaczy i szlacheckiego uporu rozpił się, ludzie spotykają go nieraz nad rowem wprawie razem z gęśmi i wieprzami. Oto człowiek, który krajowi mógł dawać dobrodziejstw i pracy owoce, a sobie wewnętrzne uczucie.

Anna: /wskazuje na Kar./ Ten zaś utracił wszystko, co

zbudował, niemłodego oko ma jasne!

Żabski.

Jakto, wszystkie towarzystwa?

Karol.

A tak. Gdy runęła spółka zbożowa, runęły pożer Ramowicza podcinane kółka samopomocy. Kilka towarzystw stanowej daty kolwiek dyszy. Trąbiński z tylu dziećmi zbankrutował, gazetki od pół roku niema, sam drapieżny się i gra w karty z rozpaczy o dzieci niemające, za co ale szkoły chodzić.

Żabski.

Przestraszacie mnie. Z panią Anną chciałbym pracować, chciałbym służąc jej drugim służyć.

Anna (wesoło)

Mój panie znajdzie się zawsze dla nas; to ciężka praca.

Karol (wyniośle)

Tylko nie dworujcie. Od chwili, gdy zostałaś narzeczoną przestałaś być samowolną wdówką.

Anna.

Ale stosunki wdowcy uwagi mogą schować dla siebie.

Karel.

Stoviam vdovcy uvagy prosił, aby nareszcie nie przestawały. Otóż Adasiu nie przestrasaj się. Do zawiktowego pojęcia zwycięskiego bytu na ziemi odtąca się pozostanie na natem – prostota.

Gdy moja niezapomniana Marynia puściła mnie na wolę Bożą, gdy zostałem bez Kornelina, przemieniłem się na słownego robotnika. Sikora miał kazistalik do spółki przystąpił i pracujemy.

Żabki.

I szczygrowałeś z wielkich ideł.

Karel.

Nigdy, ber ostrzej zaczynam. Życie mam prawdopodobnie służyć przed sobą, zacząłem od dołu. Przeszłem z góry nieźle dobrze, spadłem rychło – ale od dołu gdy zacznę, dojdę tak, że nie spadnę. Wybiorę drogi mniej stromej.

Wilcki przer Ramowicz.

Ramowicz.

Uniżony sługa.

Luna (zdumiona)

A - pan prezydent.

Karol (wita się etykietalny, przedstawia)

Pan Żabski, naczelnik mojej kancelarii.

Ramowicz (podaje rękę Żabskiemu)

Naczelnik... co powinszować! Ale mam przyjemność i znam pana z zeszłego roku z wyborów.

Żabski.

Tak panie, ja również.

Karol. (wskazuje na dom)

Proszę pana w niskie progi.

Ramowicz.

Proszę bardzo. Ja na chwilkę do kochanego pana, wyborcy do siejmu się zbliżają.

Karol.

Słyszałem o zamiarze kandydowania.

Ramowicz.

Tak. Rutyny dość mam i mówić potrafię.

Karol.

Ale czy ma pan potrzeby niezbędnych.

Ramowicz.

O, te tatwe do poznania. Treści program mam gotowy do obiecujący, obiecuję trzy nowe szkoły.

Anna.

A na buty i książki dla dzieci... Ależ, panowie pod nie. ben...

Karol (wpręjnie)

Proszę pod dach, proszę pana.

Ramowicz (odchodząc do ganku z Karolem)

Prawdziwie pleśne jest powstanie artystycznego politycznego.

Karol.

Chwili niema wolnej.

Ramowicz.

Tak jest, tyle pamiętać trzeba, tyle działać...

Odchodzą przez ganek.

Żabski (stoi obok Anny)

Moja... mogę się nazwać moją...

Anna (serdecznie)

Karol szczęśliwy i bolejący wiecznie nieszczęśliwiec, który do powagi przez ból doszedł, wyprzedził pana tak, że pojęłam.

Dziś znowu błędy zniknęły – przebaczam pani.

Żabski / w uniesieniu /

Ty mi życie wróciła, przed tobą ołtarz wystawię.

Anna / podaje rękę /

My oboje przejdziemy przez życie kochając siebie szczerze, by wzajemnie doskonaląc się pokochać wszystko co piękne.

Żabski.

O tak... Anno, tak żyć będziemy. / przyciska rękę A. do ust i patrzy w nią. /

Chwila spokoju. Wchodzi przez bramę Hilary w ubraniu podróżnem.

Hilary.

Jak się macie. Dobrze wam się tu dzieje?

Anna / przestraszona /

Wujaszek. Skąd, skąd.

Hilary / rozlutny /

Ona tu za chwilę przybędzie! Wszystko skończone z tamtym, narozrabialiśmy się, ale przy nas zwycięstwo! Prędko „gdzie Karol!" / spostrzega Ż. / A to pan Żabski.

Anna: Mój narzeczony.

Filowy /zdziwiony/

Narzeczony?

Anna.

Od wielu miesięcy duchowo, przed chwilą to faktem się stało.

Filowy.

A cóż mi Hanusia nabajdurzyła, że ty z Karolem...

Anna.

Niezapomniała biedaczka o nim.

Filowy.

Dobra ona.

Żabki.

Piękna miłość!

Anna.

Idealistyczna. Cha, cha, cha. /głośny śmiech wesoły/ My się lepiej kochać będziemy panie Adolfie.

Filowy.

Nie żartuj, lecz powiedz gdzie Karol, potrzeba mi natychmiast.

Z domu wychodzą Karol, Romanowicz i Adrianna.

Anna: Wychodzi właśnie.

Hilary /idzie ku Kr./

Karolu, jak się masz.

Karol /staje zdumiony/

Ojciec skąd się zjawił.

Hilary.

Zjawiłem się z żoną twoją.

Karol.

Z Mawyą ..... /poczuli do Ramowicza/ Tak jest panie, będę na zebraniu, skorzystam z łaskawego zaproszenia

Ramowicz. /ugrzeczniony/

Ale krytyka panienka będzie prawdziwa.

Karol.

Zawsze sprawiedliwie. Pochwalę w obec zebranych, zato tylko będzie.

Ramowicz.

Zazdraszczę panu wpływów i znaczenia.

Karol.

Pan mnie dziwię się.

Ramowicz.

Pomówimy o tem otwarcie, teraz nie rozpytywam się, bo

widzę ma pan opór z rodziny. Powiedzenia miłego.

Kłania się obecnym, Karol odprowadza go do bramy.

Hilary /łamie ręce/

Ten człowiek nigdzie nie narazi się.

Olma.

Ten ani razu nie narobił się jak Wujaszek.

Hilary /prostując/

Niemam zamiaru starego Wuja tak naciągać!

Olma.

Wujaszek nie stary, tylko starszy jak Mama.

Karol /wraca się/

Pan Ramowicz! Mówiłem, że zaaresztowanie będzie go pokusa. Zostawi go biedny i ulegnie.

Hilary.

Cóż ci tam Ramowicz. Mamy inne przyjaciół!

Karol /uderzony/

Mamy! Słuchajcie Olmy, ona nie wyprowadza się nigdzie! Jakiż zbieg okoliczności... /po chwili, gdy dopiero zrozumiał/ A!... ona, ona!...

Hilary: Przed dwoma tygodniami Zbiciki umarł.

Karol.

Umarł.

/Żołnierze: Umarł pod ręką przechadzają się, wreszcie rozmawiają z robotnikiem koło bramy/

Hilary.

Słuchaj no zięciu. Gniewasz się na mnie bardzo?

Karol. /wreszcie odbija się w głosie/

Ja? Ojciec nasz został! został ukarany za swoje winy. Niemam żadnej urazy.

Hilary.

Tak przerażająco nawaziłem się. Już mnie tak zmiękczyły. Ale dziękuję ci, że nie gniewasz się. Będziemy razem, będziemy pomagali, karty, wino, konie, będziemy klucze kupczyć!

Karol.

Ojciec taki? I z jakiegoż powodu oderwał się dawny układ?

Hilary /do ucha, ale głośno/

Powiesz się sercem, niedrogo Ulanowie tu przyjadą. Już jest w mieście, stroi się do ciebie.

Karol: /rozpromienia/ Dziś pierwszy raz o niej nie myślałem

wszy raz po roku rozwodu, czy to nie jakaś straszna prze=
mia... Ach! wróci do mnie, pozwoli się kochać, zamor
ienców nie pokłóci!

Hilary.

Ach jest. Teraz ciężkie zamienia porządnie. Co to za pani, cała
geba pani. A jak wystraszona.

Karol.

Wystraszona... o Boże...

Hilary.

Zawsze listy tracimy, bo moja córka, ale teraz... Gdybym
miał jej ojcem, to nalałbym za kobiecinkę!.

Karol.

O zawsze uroczą była. Ten robak pani bardzo, który
ygł się w bujnym kwiecie. On dziś wytruty.

Hilary /przerażony/

Zazd wiem o tem.

Karol.

Tem, bo wraca mój skarb prawdziwy. Inaczej pójdą
ioty teraz na kawałki, inaczej moja ręka będzie kru
ącą!

Hilary.

Ale ja Karolku, teraz będziesz zawsze w rękawiczkach chodził.

Karol.

Nie. Wierzę w odrodzenie, ona tak się uzdrowiła jak Anna. Obie powrócą do tych, którzy kochać umieją. Patrz, to nowe ~~siedlisko~~ moje /wskazuje dokoła/ tu jej nowe gniazdko będzie. Tu ludzie prawi i skromniejsi. Patrz tam na mnie- rawie zgięci, którym lepiej niegdyś było na ziemi.

Hilary.

Ustawicznie narzucasz się mój drogi. /Stukają tuskot/ Pewnie ona mój zięciu!

Anna /od bramy/

Karolu, Maryna przyjechała! /woła/ Tu, tu Maryniu! Wchodzi przez bramę Marya, całuje się w bramie z Anną, wita się z Karolem. Ubrana bardzo modnie i gustownie idzie wspierając się na parasolce. Hilary ustępuje na bok, siada przy stole i bierze papierosa.

Marya /stoi chwilę w obec Karola/

To ty?

Karol.

Co Manyo...

Manya.

Przyjmijcie nazwisko.

Karol. (rzuca się do jej nóg)

Manyo droga! Jak ja się kocham!

Manya.

Dobre twoje serce przebaczy mi.

Karola.

Wtedy ciebie nie winiłb.

Manya.

Przyjmiesz mnie do serca.

Karol (bierze ją w pół)

ja cię wtedy przyjąłem, gdym powiedział pierwszy raz, że kocham. O droga moja! Będziemy tu mieszkać, bez znaczenia będzie płonąć nasza miłość. Widzisz, inaczej stoi, ubogo, bo po ~~zniszczeniu~~ pożarze dobre gdy grupy stoją, dobrze, że tylko skleciło się.

Manya.

Ciebie tylko do szczęścia brakowało. Nie mów o nieszczęściu.

Iziś przyglądam po serze twoje, ale ja dlaję mieszkanie.
(odstępuje – z dumą) Przepowiedziałam zwycięstwo! (wyjmuje papier i podaje Karolowi) Przeczytaj.

Karol (rozwija i czyta)

Testament Zlichiego... (pauza bezwładnie ręka z papierem)

Marya.

A co!

Hilary (od stołu)

A co Karolku, niemówiłem, że w rękawiczkach będziesz chodził!

Marya.

Milion bez kilkadziesiąt brzemych.

Karol (zmięszany)

Sumienia niemocie.

Hilary (wstaje)

Mamrego? Proszę bardzo.

Karol.

Marya, czemu zasmuciłaś mnie w dniu tak radosnym.

Marya. (bezmyślnie)

Zasmuciłam mego męża? Czem?

Karol.

świadkiem. /rzuca papier na ziemię/

Manya /podnosi/

Kto, rzucasz milionu?

Karol.

rzucam, bo mi niewolę niosą.

Manya.

tobim nazwie pogardzasz ona.

Karol.

chcem do grobu, ale bez tych pieniędzy.

Manya.

Kto? Tyle moich zabiegów nie uznajesz.

Karol.

Nie. /Zabrała z Olmeą zbliżają się/

Manya.

to i majątek, to jzolus.

Karol.

bez majątku póty ateta warta, z majątkiem nie.

Manya /z grymasem ale stłumiła/

E, nudzisz Karolu i bawisz się w sentymenta. Tyle pra-

czekałam nad skończeniem marzenia, wreszcie zdobyłam, poszłam do tego, któremu drugą część poświęciłam. Dziś właśnie przejrzałam kiedyś powinnam dać wrażenie. Dziś mam spotkać się w prawdziwem słowie, powiodę ciebie na zamek, ustam oprzardo na witające, stoły dzban będzie nam wino nosił. W spokoju i używaniu bogactwa żyć będziemy.

Karol.

Rzuć na chwilę myśl o testamencie. Przyglądnij się temu obejściu, pomnij ile tu westchnień, ile nadziei, ile ciche-go przejścia. Patrz się na nasze ranki

Marya.

To wy nasze.

Hilary.

I wyobraź sobie od dawna.

Marya.

Więc umiałeś Karolu naprawdę ciągle mnie kochać.

Karol.

Umiałem, bo tylko ci umieją, co cierpienie znają. W stosach złota i wspaniałym zamku nie będzie nam dobrze.

na nich. Tak długo szukali się, aż znaleźli swoją
stali w wrót prostoty, pracy i swobody. A czy nie-
w zbytku nie ma miłości. Nie wiem — tam pustota,
kiedy lub troska o strzeżenie bogactwa.

Marya.

Lecz gdy kochasz w ogień powinieneś skoczyć,

Karol.

Jeśli wiem, że w tym ogniu miłość zgaśnie, nie skoczę.

Marya /nerwowo/

Tak, jak musisz tak mówić. Ilu masz mnie za kobietę
. Musisz sądzić, bo pozory o tem aż za wiele mówią. Ale
rzej jak w purpurze kochałam nie byłam w możności. Ile
razy na wygnaniu myślałam o tobie. Twe oczy pełne
przebaczenia nieraz patrzyły na mnie spokojne, kochające
Tam, za domem zrozumiałam, że kochałam cię, tylko
pragnienie, żądza to okropna... Nie wspominaj o niczem
Zawrzeć. Niechcę wiedzieć, co było do dnia dzisiejszego.
Niechcę wiedzieć, pamiętajcie o tem. Niech się wam zda-
je, że dziś narodziłam się milionerką i przyjechałam
do stworzonego już raju zabrać męża. Ciebie zabrać Ka-

roku. Pomnij te rumowiska.

Karol.

Te rumowiska od rozpaczy i zagłady mnie uratowały, i
zwróć się do nich, takie uratujesz się.

Olimpia.

Nazwiesz mnie uparta, a przecież nie nawrócę się. Mówiłeś
my wyjechali stąd daleko, chociby za morze. Wyjedziemy
nawet zaraz dziś, wybudujemy willę nad jeziorem
Garda, będziemy mieli stosunki, podróże, stolica podwój
nemy, a zawsze razem, zawsze we dwoje.

Karol.

Padałaś twoje serce?

Olma,

Ja wiem, że cię kocha. Kobieta wszystko potrafi.

Fabian.

Ale dlatego.

Olma.

Dlatego, że przeważnie żyję namiętnością.

Olimpia. /błagalnie/

Karolu, oczekuję ciebie na dobrowolnem wygnaniu.

Karol. /poważnie/

I tak, słuchaj złota. Wyrwij pieniądze, zmień ubranie, upnij na pas fartuch i broń wreszcie mi- ni. No — pójdź do mnie, w ten niski dom, ufaj mi- dośwladzeniu, bądź robotnicą.

Hilary /wzruszony/

Złoto, moja córka prawdziwa Królewna! Ze Karolkiem, na- Jeździć chcesz kostrzewkę.

Kobor.

Jeśli nie usłuchasz mojej prośby, dowiedzieć, że nie chcesz prawdziwie.

Marya. /z żalem/

Żałuję. Tobiecie należy się i chce miłości, więc mo- żesz zrozumieć.

Karol.

Przeciw twemu wzruszeniu mówi porównanie z brzemieniem.

Marya.

Złoto drogie niech idzie w zgodnej parze z ziemskiem zwierzęciem w wiary. Inaczej zrozumieć nie mogę.

Karol: Lecz nigdy nie chodzi w parze. Tu tobie wiadomiejąc

samolubstwo w chęci zadowolenia siebie. Udowodnij mi, że dla mnie wszystko poświęcasz.

Marya.

Ty swoje idee do siebie również odnosisz, więc ustąp.

Karol.

Los rzadko pozwala mnie, że do szczytu można się tylko wzwyż zbliżyć, ale nigdy pociągnąć. A zbliżyć się można na największem zaparciem się przed pokusami.

Marya. /nerwowo/

Więc nienawidzisz mnie i mojej miłości.

Karol /bierze ją za rękę/

Nienawidzę?..

Marya.

Zbieraj się i jedź.

Karol.

Ty tu zostań.

Marya.

Więc nienawidzisz mnie.

Karol. /rozsierdzony/

Kobieto, nie mogę żyć z tobą tam, gdzie zniknie nasz

...wiązanie. To wiele nauki zawsze dałaś. Gdy zwej ...ętności nie wyklnie, ona będzie się będzie i pędzić, ...uciśnie godność twoją, staniesz się zwierzęciem. Póki ... Murzyłów, Trybińskich, Romanowiczów bez liku.

Marya.

... tu zostanę z majątkiem.

Karol. /przejęty/

...m cię na oczy widzieć niechcę, to ci przysięgam i ...ę cofnę przysięgi! Łzy, zagadki, wmyślko wzywam! ...ogrę swoją żonę i dlatego przysięgłem!

Marya /wpada w rozdrażnienie/

...ch!.. Czemu przysięgłeś!

Karol.

... do czci prawdy zmusić, jeżeli mnie Kochasz.

Marya /rozpacznie/

...fuję przysięgę, wiem co znaczy w niebie!

Karol /surowo/

...cofam.

Marya /zatrwożona/

...niatoby się sprawdzić, czem myślałam. Czy naprawdę

taki twardy jesteś. Gdzie zwycięztwo! Zwyciężałam za brat zwyciężonego na moje łono, a on mi prawa dyktuje. Nie, nie stracę szczęścia ojca u celu. Karolek patrz, na tym papierze złoto, złoto!

Karol.

Ten papier porodził nas. Spal, miłość go nie ścigała.

Maryja.

Mam spalić, co mi ostatni zabrało, co zabrało mi Karola, co mi krew niszczyło. Całe dotychczasowe życie nato się złożyło, ze stratą tego już odzdrowić przestanę.

Karol.

Ze zniszczeniem papieru zniszczysz zaślepienie.

Maryja /ze zgrozą/

Ty i złoto, albo nie i rozpacz.

Anna.

Maryniu co ci jest.

Maryja /w ekstazie/

Wy niczego nie byliście świadkami. Nie widzieliście, jak pracowałam by nasycić się złotem i jego blas-

...em, by żyć w rozkoszy przy dwiękczącym skwarze konania. ...arwijcie zbrodniarkę, potworem... Bo tak było, wy ...o nie wiecie. Ale ja wiem doskonale... Więc jak ...esz Karolu, kochanku pożdać bym was odzielita... ...e zawrześnie umarł, niż mu było przemawiać, bo tam byłam przy nim...

Karol.

Boże...

Marya.

...ie mogę innej kochanku, sokole ty mój... Karolu ...ejmij mnie, nie bój się mną, daleko, zapomnij ...łego. Pamiętajcie, że od dziś dnia narodziłam się. Gdy ...łam powietrze, w którem na świat przyszłam oddychać i rozwijać się.

Karol (błagalnie)

Nie, w takim powietrzu zginiesz.

Marya

Przestrasz!

Karol (wyciąga ręce)

Tylko muszę się do ciebie i dłuć wierzyć, że kochasz!

Przy bramie i na dziedzińcu widzą się kilku ludzi. Sikora wychodzi z ganku, patrzy na zegar i dzwoni do roboty. Przez ten czas nikt nie mówi. Ruch robi się między ludźmi, ci, którzy spali podnoszą się z ziemi.

Illanya.

Idę sobie, bo tak postanowiłam, gdym o tobie jako strasznym sądzie mówiła.

Karol.

Daj mi testament. /Illanya oddaje papier. Karol drze na drobne kawałki./ Teraz chodź pod dach niski gdzie blisko słońca.

Illanya. /odchodzi kilka kroków w głąb/ On zginął wcześniej niż mu było przeznaczone... uwolnił mnie, mąż katkę uwalnia /głośno/ Walcie na ziemię o ~~ziemię~~ słońce!

Karol /przerażony/

Żono moja!

Biegnie ku niej, gdy Illanya odwraca się w tył ku bramie, dobywa rewolweru, strzela i pada na ziemię.

Żabski (nagle)

Żona po lekarza!

Robi się ruch, wszyscy biegną ku Marysi.

Zasłona spada.

Koniec.

w Krakowie - październik 1893.

Inhalt der Nummer:

Ein Aufruf des polnischen Ministerpr
Paderewski. — Zu der jüdischen Frag
neue politische Organisation in Kra
Minister Wojciechowski über die Jud
— Verhältnisse zwischen Juden und
Lemberg. — Judenpogrome in der Uk
Aufruf der polnischen Jugend jüdisc
stammung „Die Fackel". — Ueber den p
jüdischen Ausgleich. — Die jüdische Fr
der Friedenskonferenz. — Landtagsber
über die Bildung eines Spezialausschus
die jüdische Frage. — Eine Partei der
lichen Gleichberechtigung der polnisch

Preis 40 Heller